

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**WŁADYSŁAW ST. REYMONT**

**SUKA  
I INNE OPOWIADANIA**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## SUKA

Witek! Mój złoty Witek!

Chłopak się obejrzał, źrebaka, na którym jechał, powstrzymał i mruknął:

– Cegój! A gdzie!... To psinorody dopiro, zaro w skodę kiej swynie!

Pchnął swego konia, obegnął rozpraszające się po drodze i zbożu stado źrebiąt, spędził w kupę i podjechał znowu pod parkan okalający ogród, gdzie stała dziesięcioletnia może dziewczyna.

– Mój drogi Witek, pomóż mi zejść, mój złociutki, ja się tak boję, jeszcze spadnę – szczebiotą przytrzymując się silnie ostro zakończonych sztachet.

– A juści – dostanę ta!...

I obojętnie zsuwał ściągnięte aż do kolan spodnie.

– To podjedź.

– Bez rów?

– Prawda – i spojrzęła z przykrością w głęboki rów, idący równolegle z parkanem.

– Niech paninka chyci się słupka okrakiem i tak zjedzie na zimię.

– Jak to okrakiem?

– Loboga z tymi kobitami!... To zawdy nic nie rozumi. Dyć kolanami i tyła.

– Ach! Już wiem, wiem.

Przypomniała sobie Ewkę zjeżdżającą z brogu po słupie.

– Tylko nie patrz, jak będę schodziła.

– Przez co?

– No, nie patrz! – zawołała energicznie, rozczzerwieniona i zła, że nie rozumiał dlaczego.

Chłopak drwiąco się roześmiał i odwrócił, a ona książkę trzymaną w ręku rzuciła na drogę i tak, jak radził, zsunęła się po słupku. Przez rów przeszła i wesoło zawołała:

– Dawaj tu konia, pojedziemy trochę. Chłopak zaczął się kłopotliwie drapać w głowę.

– Dajże rękę, siadę z tobą i pojedziemy.

– A juści, a jak kto obacy i powi jaśnie pani, to co? – mruknął markotnie.

– Nikt nie będzie widział, pojedziemy na łąki albo do lasu – no, mój Witeczku.

– Kiej się bojem. Jaśnie ociec paninki powiedzieli, że kiej jesce raz zobacą, co z paninką jeżdżę, to mi taką frycówkę sprawia...

– Nie będzie wiedział, dajże rękę, już ci podaruję wstążkę czerwoną do koszuli.

Chłopak zmiękł. Ledwie bosą nogę wyprężył poziomo jak strzemie i rękę podał, już dziewczyna siedziała przed nim, chwyciła się grzywy i biła bosymi, w pantofelkach tylko, nogami po bokach źrebca. Witek jedną ręką przycisnął ją do siebie, drugą klepnął w kark konia, zawrócił, gwizdnął, uderzył piętami – polecieli jak wiatr, drogą ku łąkom leżącym niżej, pomiędzy parkiem a lasem.

Dziewczynie oczy i usta aż się śmiały z radości ogromnej, przenikał ją prąd jakiejś dzikiej energii i porywała szalona żądza ruchu, powietrza, krzyków; unosiła się na koniu i rwała naprzód. Twarz jej pałała, włosy się trzęsły zwichrzone, przed oczyma tylko migąła przestrzeń.

Nie mogła złapać tchu, chwilami kołowało się jej tak w głowie, że prawie traciła przytomność, ale pobudzała żrebca do wciąż szybszego biegu, pokrzykując zuchowato: Hop! hop! I lecieli. Witek trzymał ją mocno, bił żrebca piętami coraz częściej i rozpalony jazdą krzyczał głośno:– Hop! hop!

– Hop! hop! – odkrzykiwała wesoło i jak przyrośnięta do konia, rozwichrzona jazdą, szczęśliwa, z przymkniętymi oczyma, rzucała się w przestrzeń. Przelecieli łąki nie widząc ludzi koszących trawę, przepłynęli w bród rzekę i znowu lecieli polami, na których zboża stały w kłosach, ugorami pełnymi stad i wesołych nawoływań pastuchów – lecieli bez tchu i pamięci, aż im ściana olbrzymiego lasu zagroziła drogę, a zmęczony żrebiec zaczął zwalniać biegu i rozpierać się. Na skraju lasu Witek konia wstrzymał i zeskokczył na ziemię; dziewczyna zrobiła to samo; wzięła go za rękę, on konia za grzywę i poszli w głąb lasu.

Cisza mroczna ich ogarnęła i majestat jakiś potężny. Wybrali sobie niewielką, pokrytą mchami polankę i siedli odpoczywać. Dziewczyna spotniała twarz wycierała fartuszkim, a Witek położył się na brzuchu i sapał. Przysunęła się bliżej do niego, bo las tak zaszumił, że ją przeniknął niepokój. Żółtawe pnie sosen niby tysiące kolumn, podpierających zielone sklepienia, stały bez ruchu, dołem mchy złotawe, miękkie jak jedwab, rozścielały się niby kobierzec, a gdzieniegdzie wachlarze paproci drżały, poruszane nieznanym powiewem. Słońce słabe przeświecało przez gałęzie i kładło nikłe, złotawe plamy arabesek na mchy i jasnozielone liście leszczyń. Żywiczna woń lasu przepęłniała im piersi, a ten spokój panujący dokoła onieśmiał, tak że długo siedzieli w milczeniu, nasłuchując, bo w dali gdzieś kuł dzieciół zawzięcie przyczepiony do sosny, to znów wrona z krakaniem przeleciała nad lasem, to śpiew kosiarzy doleciał słabym echem z łąk, to jakieś pokrzyki wesołe leciały po lesie. Taka była chwilami cisza, że słyszą szelest spływających na ziemię długich, złotych szpilek sosnowych. To znowu stado srok nadleci ze skrzekiem, kłóć się, aż las kipi wrzawą i odlatują; to żuk przeleciał z brzękiem lub pszczoła za kwiatem; to wiewiórka zachrupocze zeszlórocznymi szyszkami, to wiatr zaszemrze w koronach, skłóci harmonię, aż się pochwieją przez chwilę olbrzymy w poważnym rozhoworze. I znowu cisza. Świetlane pęta wsiąkają w zieleń i niby złoty haft plamią bursztynowe pnie sosen. Potem przychodzi coś jak cień, wsącza się zwolna w las, mroczeje, robi się czarniawe, wszystko zdaje się zapadać w jakieś głębie i szmer się rozlega podobny do jęku smutnego, chłodny oddech idzie z leśnych głębin i uderza w dzieci przejmującą falą zimna. Żrebak szczypiący młode listki jagodzin zarżał niespokojnie. Wróciła im wesołość i nie czuli zmęczenia. Witek zobaczył wronie gniazdo na sośnie i chciał wejść na nią, ale nie mógł, próbowała tego i dziewczyna, ale poszarpawszy sobie sukienkę i podrapawszy skórę na nogach, zaniechała. Zaczęli się gonić, chować za pnie drzew, przewracać. Chciała się koniecznie nauczyć stawać „suchego dęba”, ale za każdą próbą, choć ją Witek przytrzymał za nogi, padała wśród ogromnego śmiechu obojga. Witek uciął dwa leszczyńskie kije i uczył ją gry w świnkę. Śmieli się tak, że aż się rozlegało po lesie; żrebak im wtórował rżeniem i biegał za nimi jak pies. Dziewczyna czuła się tak ogromnie szczęśliwa i rozradowana, że zapomniała o całym świecie. Wreszcie, syci zabawy, zabrali się do powrotu. Jechali wolno, Witkowi tylko zaczęło coś dolegać, bo się kręcił niespokojnie i wybiegał wzrokiem ku drodze, gdzie pozostawił stado.

– Pić mi się chce – powiedziała, gdy wjechali w rzekę i koń przystanął sączyć przez zęby mętą wodę. Witek się nachylił, w swój słomiany kapelusz wody nabrał i podał – piła chciwie.

– Czemu taka mętna?

– W Kotlinach wodę puścili, o – jak przybiro!

Rzeka toczyła się z szumem, pokryta żółtawą pianą i występowała z brzegów.

– A gdzie Finka? – spytała.

– Bo jo wim? Gdziesik pociekła, bo już i wczoraj nie była ze mną.

– Ma już małe pieski?

- Jesce nie.
- Jednego mi dasz – co? Ja tak lubię pieski! Będzie z lalką sypiał.
- Będzie ta sipiał! Jaśnie ociec paninki każą go utopić w chrapie<sup>1</sup>. Tak, paninko, trza prę-dzy – dodał przypomniawszy sobie panią.
- Jeszcze trochę pojedziemy tak wolno. O, patrz, jak tu ładnie!
- Żruboki ostawiłem na drodze... Jak nie posły w ogrodzenie, ino w zyto, to dopiro będzie piekło – i uderzył nogą żrebca, nagłąc do pośpiechu.
- O, jak tu ładnie. Patrz, Witek – i wskazała ręką zachodzące słońce.
- Prowda – cerwuno.

Dziewczyna wpatrzyła się w przestrzeń, a Witek raz po raz zagnął bieg konia i ze strachem myślał o żrebakach.

Cały zachód pokrył się jakby łuską z purpury, przesiąkniętej złotem na tle szarobłękitnej głębi; niżej, tuż nad słońcem rozciągał się płat nieba wielki, długi, porwany w kawały, koloru miedzi powleczonej czerwonymi odbłaskami słońca, którego kula tuż nad ziemią niby bez-rzędne oko świeciła jaskrawo. W ogniach zachodu wąsate kłosa jęczmienia, przesycone świa-tłem, mieniły się głęboką zielonawo złotą barwą. Żyta miały odcień stalowy. Koniczyny roz-kwitłe tworzyły kobierzec o krwawym odbłasku, pocętkowane kępami liliowych jaskrów, ostro się odcinały od popielatych pól owsa. Drzewa stojące wprost słońca, przedłużone cie-niami, miały pozór olbrzymów: z jednej strony zieleń ich była złota, z drugiej czarna. Słońce lało strumieniami światło poprzez liście i gałęzie, rysując na przydrożnym trawniku, jak bi-zantyjski malarz, złote tło do obrazu o konturach cieni.

Zmrok wylaźił z jakichś nor przestrzennych i ślaniając się zataczał coraz szersze kręgi. Słońce przygasało; w bruzdach, po rowach, pod rozłożystymi gruszami ciemniało, łąki za-częły siwieć rosą i okręcać się fioletowymi mgłami. Cichość jakaś wlewała się w świat i brała wszystko w moc swoją.

Witek tego wszystkiego nie widział, tylko co chwila mówił:

- Paninko, loboga, prędzy!
- Nie bój się, ja poproszę papy, to cię nie wybije. Mnie tak dobrze jeździć z tobą. Nie wiem, dlaczego mamusia mi nie daje?
- Juścić, bo to nie pasuje.
- Dlaczego, Witku?
- Bo paninka je dziedzicowa córka, a jo se żruboki pase.
- No, to co? Kiedy ja wolę z tobą jeździć, niż się uczyć głupich rozmówek.
- Jo ta nie wim co, ino to, ze paninka je ślachecko, a jo chłopski.
- Madam<sup>2</sup> mówiła, że przecież to wszystko jedno.
- Jedno to pewnikiem i nie jest, bo ślachta ma grontu więcy kiej chłopy, i uczone są, i ubier mają insy, i całkiem inacy zyją.
- Witek, a czemu ciebie twoja mama nie posłała do szkoły?
- A bo matula pinindzy ni mają i bez to głupim chłopem ostanę.
- A jakbyś miał pieniądze, Witku?
- Jakbym miał, paninko, tobym się wszyckiego, co się ślachta ucy, nauczył, ubier se sprawił ślachtetny, grontu bym kupił od Kłęba abo i od Gulbosa, jakby chwaciło, kunie miołbym, krowy miołbym i taki gospodoz byłbym, coby me gromada obrała na pana wójta i kiedyby było potrza, to baldach niósłbym se w kościele nad dobrodziejem – i uśmiechał się słodko.
- Ta madam, to mi kaže zawsze siodłać kuca Władkowego, a on tak lizie, lizie, jak cielę – co, nieprawda, Witek?
- Juścić, że prawda, paninko.
- Jak już dorosnę, to będę jeździć tatkowymi końmi – co, nieprawda, Witek?

<sup>1</sup> C h r a p (gwarowe) – trzęsawisko, bagno, kałuża.

<sup>2</sup> M a d a m (prawidłowa pisownia: madame) – po francusku: pani; tu: nauczycielka.

– Hale! ogiery, paninka nie poradzi.  
 – To ty będziesz jeździć ze mną – co, nieprawda, Witek?  
 – Juści, że tak może być, ino formanem ostanę.  
 – Ubierzemy konie po krakowsku, ze wstążkami i tym nowym tatusia brekiem będziemy jeździć, a tak prędko, tak prędko – co, nieprawda, Witek?  
 – Prawda, paninko.  
 – Witek, a gdzie moja książka?  
 – A jo wim! Cy to ta sama, co z obrazikami?  
 – Nie, nie ta. To jest gramatyka francuska. Wzięłam ją do parku, żeby się lekcji nauczyć. Mój Boże, gdzie ja ją podziałam. Och, jakby się mama gniewała. Jedź prędzej, może tam została, gdzie przechodziłam przez parkan.  
 Dojechali galopem, zsunęła się na ziemię i zaraz prawie ją znalazła, tylko że książka leżała rozplaszczona, stratowana przez źrebca; oglądała ją ze strachem, wycierała sukienką, ale na próżno.  
 – Podsadź mnie.  
 Witek się nachylił, skoczyła mu na ramiona i dosięgnąwszy szczytu parkanu wciągnęła się na wierzch, zeskoczyła zaraz na drugą stronę i znikła w parku.  
 Witek pojechał rozglądając się markotnie za źrebakami.  
 Ona zaś otworzyła książkę i spiesznie, głośno zaczęła recytować lekcję:  
 – *J'aime, il aime. Tu aimes, vous aimez. Nous aimons, ils aiment*<sup>3</sup> – powtarzała, uporczywie wbijając sobie w pamięć, że nawet nie słyszała wołania.  
 – Tosiu! Tosiu!  
 Drgnęła, zaczęła odmieniać jeszcze prędzej i biegła do domu. Strach ją ogarnął. Dojrzała pomimo pośpiechu nauczycielkę stojącą na ganku od ogrodu, więc jeszcze śpieszniej obiegła dwór i wpadła na podwórze zdążając do frontowego wejścia i powtarzając sobie bezustannie:  
 – *J'aime, il aime. Tu aimes, vous aimez. Nous aimons* itd. – Nie mogła spamiętać i zamilkła, bo zobaczyła matkę stojącą na ganku przypatrującą się jej uważnie.  
 Od razu poznała, że jeździła, bo Tosia miała włosy potargane, sukienkę zmiętą, podartą – żółte pantofelki zawalane torfiastym gruntem rowu, więc tylko krótko spytała:  
 – Gdzie Madam?  
 – Nie wiem, mamusiu. – Ja... byłam w parku... uczyłam się lekcji... nie widziałam... – tłumaczyła się drżąc ze strachu i niespokojne, bojaźliwe a pełne prośby o przebaczenie oczy zwracała na matkę.  
 – Pokaż książkę.  
 Dziewczyna zbladła i zaczęła odruchowo znowu odmieniać przypadki.  
 – Co miałaś zadane? Tosia wskazała.  
 – Mów. Tylko pamiętaj!...  
 Wystraszona surowością głosu matki, zaczęła coś bełkotać.  
 – Mów wolno, wyraźnie! – syknęła matka, z trudem powstrzymując gniew.  
 – *J'aime, il aime. J'aime, j'aime* – trzepała zgorączkowana, nie wiedząc, co mówi.  
 – Jeszcze raz powtórz! – i ścisnęła mocniej trzymaną za plecami dyscyplinę.  
 Tosia dojrzała ten ruch, zapowiedź czegoś gorszego, i ścierpła, rozszerzonymi, ogłupiałymi ze strachu i przygnębienia oczyma patrzyła nie mogąc słowa wykrztusić.  
 – To tak się uczyłaś! To ja na to trzymam nauczycielkę, żebyś ty nic nie umiała! W parku się uczyłaś?  
 – Tak, mamusiu – szepnęła cichutko przez łzy.  
 – Nie kłam, nieprawda! – i uderzyła ją przez plecy rzemieniami.

---

<sup>3</sup> J' a i m e... (czytaj: zem) – odmiana w czasie teraźniejszym francuskiego czasownika a i m e r (czytaj: eme): – kochać (kocham, kochasz itd.).

Dziewczynka zdenerwowana do ostatka, z ogromnym płaczem trzęsąc się z bólu i rozczarowania, rzuciła się na kolana przed matką.

– Mamusiu! mamusiu! – błagała nieprzytomnie.

– Ty szelmo, będziesz się z pastuchami bawiła – ja ci dam chamów, ja z ciebie wytlukę tę przyjaźń! Masz dziesięć lat i jednej rozmówki francuskiej nie umiesz, dwa lata grasz gamy! Ty wyrodku obrzydły, z dziewczkami się bratać, z chamstwem się bawić, z Witkiem jeździć! Ja ci dam, ty potworze. Ty! – i okładała ją coraz silniej ze wszystkich sił.

Dziewczyna wiła się z bólu, chwyciła matkę za ręce, za nogi, za suknię, to znów zasłaniała się rękoma od bolesnych uderzeń i jęczała:

– Mamusiu! mamusiu!

A mamusia biła coraz zapamiętałej.

Dopiero nauczycielka położyła koniec znęcaniu się wyrywając z rąk matki nieprzytomne prawie z bólu dziecko.

Dziedziczka bić przestała i upadła na ławeczkę ganku, sina z tego paroksyzmu<sup>4</sup> wściekłości. Darła na sobie stanik i ledwie wykrztusiła do przechodzącego parobka:

– Przeprowadź tu Witka!

Potrzebowała jeszcze krzyknąć i bić, nim jej nerwy mogły wrócić do równowagi.

– Skaranie boskie z tą dziewczyną! – zaczęła po długiej chwili, a jej chuda, kanciasta twarz rozbłysła nowym wyrazem złości. – Pracuj, staraj się, płąć, a ta nic! Przyjeżdża pani Zielińska i ze złośliwością mi mówi, że widziała Tosię jadącą z Witkiem przez łąki. Myślałam, że się uduszę z upokorzenia, bo te dwie jej dziewczyny – jak laleczki, dobrze ułożone, mówią po francusku, potrafią zagrać przy gościach – a ten obrzydliwiec wstyd mi tylko robi. Każę ją wołać i mówię, że się uczy w parku, a ta wstrętna baba upewnia mnie raz jeszcze, że widziała ją jadącą na oklep i że Witek trzymał ją w pół. Co za wstyd! Co z tego wyrośnie! Będzie jeździć z tymi oberwańcami i nic więcej. Ale cóż, kiedy jej nic nie mówią i pozwalają na wszystko.

– Ja nie mam żadnej nad nią władzy, przecież to miałam zastrzeżone, a zresztą dziewczyna tak źle od początku prowadzona, bez zdolności, zahukana, wystraszona ciągłym łajaniem...

– Jak pani śmiesz tak mówić! Moja córka źle wychowana! Bez zdolności! Ja jestem złą matką! ja – matka, źle postępuję z własnym dzieckiem! To niesłychane! Płacę pannie – to powinna coś umieć, od czegoż tu panna jesteś? Panna się tylko mizdrzysz do wszystkich i Darwinów<sup>5</sup> czytasz. Po chłopskich chałupach się włóczyysz – dobrodziejka jakaś, reformator-ka! Psami się opiekuje, a dziewczyna samopas puszczona robi, co chce! Mając zaś takie przykłady...

– Nie odpowiadam nawet na obelgi, bo jesteś pani niepoczytalna. Jutro mogę odjechać, dosyć mam tego obywatelskiego chleba – dosyć!

Trzasnąwszy drzwiami, wyszła. Dziedziczka zaczęła biegać po ganku, sycząc przez zaciśnięte złością zęby:

– Żmija, flądra warszawska, niegodziwiec! Zostań! – krzyknęła na Tosię, chcąc się wymknąć po cichu.

Dziewczyna przysiadła na ławeczce i ukrywszy rozczewrzoną, zapłakaną twarz w rękach, na próżno starała się powstrzymać spazmatyczne łkanie.

– Sto dwadzieścia rubli płąć, obchodź się jak z równą – i tak się wywdzięczy! Szewcówna, tfy! Fochy będzie mi tu pokazywać, morały prawić! A jedź na złamanie karku! Dwadzieścia na twoje miejsce dostanę – tylko gwizdnę! Daj no go bliżej! – krzyknęła na parobka, który siłą ciągnął wydzierającego się Witka.

---

<sup>4</sup> P a r o k s y z m – tu: atak.

<sup>5</sup> D a r w i n ó w – Karol Robert Darwin (1809–1882), wielki angielski biolog, twórca teorii o powstaniu i rozwoju gatunków roślinnych i zwierzęcych; był zaciekle zwalczany przez ideologów burżuazji. Jego nazwisko, jako reprezentanta naukowego poglądu na świat, było przedmiotem szczególnie gwałtownych ataków Kościoła.



- Puść me, Kuba! Puść me, ty zapowietrzony! Loboga, puść!
- A jużci, a sam po łbie wezme.

Krótko go za kołnierz spencerka wziął i postawił na ganku. Dziedziczka skoczyła do niego, uchwyciła za włosy i na początek zaczęła mu pięścią gładzić puciołowatą twarz. Chłopak krzychał wniebogłose i wydierał się, ale na próżno – trzymała go żelazną ręką.

– Ty bękarcie – mówiłam ci, żebyś z panienką nie jeździł? Mówiłam, co? Tak słuchasz, psi synu! Śmiesz moje dziecko obejmować swoimi podłymi łapami! Jeździć z nią, psie? Tak słuchasz, chamie!

I z siłą, na jaką ją tylko było stać, biła go dyscypliną, gdzie trafiła.

– Nie bede, jaśnie pani, nie bede! Loboga! Matulu! O Jezu! Matulu! nie bede, matulu!

– Mamusiu złota! mamusieczku, to ja chciałam, Witek nie winien – wołała Tosia osłaniając sobą Witka i chwytając matkę za nogi. Dostawszy dyscypliną przez ręce, puściła go i z płaczem, trzepocząc rękoma, uciekła w głąb domu.

Jasna pani miała już dosyć na uspokojenie swoich nerwów, a Witek też ledwie charczał od krzyku. Pchnęła go z ganku i poszła.

Chłopak w koziołkach zleciał po schodach i utknął twarzą w wyżwirowanym podjeździe.

– Zabili me, matulu, zabili! – ryczał, ale prędko powstał i chwytając się twarzy, pleców, głowy, powlókł się ku kuchni dworskiej, okropnie krzycząc:

– Zabili me, matulu, zabili!

– Witek, chodź ino, chodź!

Chłopak przypadł do matki, tłukącej przed kuchnią dworską kartofle.

– Matulu, loboga, boli me.

Przestała tłuc, odgarnęła mu włosy, fartuchem obtarła twarz posinioną w długie pręgi.

– O piekielnica! Azebyś skapiała, jak tyn pies. Tak dziecioka sponiwierać. Azeby cie marności ścisnęły, ty psio piastunko!

Poszła do kuchni i wyniosła stamtąd kawałek chleba i maślanki w półkwatku.

– Zidz se ano, nie płac. Nie bój sie. Pan Bóg nie tkliwy, ale sprawiedliwy. Zeby cie zło gozdina nie minyła... Nie buc!

Chłopak się uspokajał, gryzł chleb, popijał maślanką i od czasu do czasu obcierał rękawem łzy, cisnące się do oczu. Matka stała nad nim, pieszczotliwie gładziła go po głowie, a gdy zjadł, rzekła:

– Idź spać. Jo tam przyńde, przyniese ci śtucke z obiadu – idź, bo jesce ta morówka przydzie i dołoży ci co.

– Przyniešta, matulu, i lo suki. Poszedł gwizdząc i nawołując cicho:

– Finka! Finka!

Obszedł wszystkie kąty podwórza, a suki nie znalazł, ale usłyszał od strony młyna jakiś szum i krzyki, więc tam pobiegł.

Droga sprzed dworu szła bokiem zabudowań gospodarczych i minawszy je obiegała po nasypie, w półkole zatoczony, ogromny staw, trzymany groblami wysoko, przechodziła obok młyna stojącego już w łąkach, przerzucała się przez upust i szła ku wsi wyciągniętej w długą, porozrywana linię. Młyn stał nisko, szczyty jego dachów były na poziomie wody.

Choć mrok był gęstszy, Witek dostrzegł na grobli wprost młyna gromadę ludzi, rozbiegających się na wszystkie strony i czepiających się to drzew, to płotów i jakieś krzyki trwożne, pomieszane przecinały powietrze. Upust był otwarty i stawidłami woda z szumem rzucała się na dół z jakiejś dziesięciolokciowej wysokości, biła w brzegi olbrzymimi, płaskimi falami, obryzgując pianą drogę. Nie mogąc się pomieścić w łożysku rzeki, wystąpiła z brzegów, szeroko rozlewając się w niziny. Chłopak się rozglądał i zobaczywszy sukę, biegnącą naprzeciw, krzyknął:

– Finka! Pódź tu!

Krzyczeli coś do niego z drzew i płotów, ale nie mógł usłyszeć w szumie wody i gwizdał najspokojniej. Suka się na chwilę zatrzymała i w szalonych susach rzuciła się ku niemu. Przypadła mu do nóg i krótko, żałośnie skowyczała; piana toczyła się jej z pyska, a ślepie błyskały krwawo.

– Finka! – zawołał.

Skoczyła mu do piersi jakoś dziko, chwyciła za zgrzebne spodnie, szczękała zębami, tarzając się przed nim w piasku, odbiegała trochę i powracała znowu, skomląc okropnie.

Witkowi zrobiło się jakoś straszno: nie umiał sobie wytłumaczyć jej wycia ani rzucania się, więc zaczął pędzić do młyna. Suka go wyprzedziła, zbiegła z wału i chlusnęła do wody: płynęła chwilę w kierunku wysepki, leżącej w końcu trójkąta, jaki tworzyły wody spadające spod kół i spod upustu, a łączące się o kilkanaście prętów dalej w jeden strumień wrzący. Uplęnęła kilka kroków, ale gwałtowny prąd zniósł ją w bok i wyrzucił na łąki. Miotła się kilka razy nadaremnie. Przyleciała znowu na nasyp, obiegła młyn i położyła się nad brzegiem spienionych wód, wyjąc okropnie.

Witek wlaź na wysoki płot, bo dosłyszał wołania, że suka się wściekła. Dziedzic, siedzący także w strachu na jakimś drzewie, wysłał jednego z parobków po dubeltówkę. Chłopaka markotność rozbierała i taki żal, że gwizdnął na nią pieszczotliwie: przybiegła, zaczęła gryźć żerdzie, wyrzucać piasek nogami, kręcić się w kółko i wyć... To podbiegła ku drzewom, na których siedzieli ludzie, skomliła, odrapywała pazurami korę, tarzając się w piasku, biegła co chwila nad wodę i dysząca, okryta błotem, zmęczona, wlokła się na brzuchu nad sam brzeg i krwią zalanymi ślepiami tonęła w mgłach podnoszących się ze spienionej wody. Skowyt jakiś, podobny do spazmu, bólu nadmiernego, chwycił ją; powracała do ludzi jeszcze bardziej szalejąca, nieprzytomna. Kurcz ją jakiś łamał, bo były chwile, że leżała jak martwa, skręcona w kłębek. Już sił nie miała do wycia, bo tylko jakiś charkot rozlegał się głucho w szumie spadających fal. Woda podnosiła się coraz wyżej, już tylko sam środek wysepki w trójkącie, najwyżej położony, bielił się jeszcze piaskami. Nad łąkami rozlegał się pisk czajek, opuszczających gniazda i gęste opary.

Broń przyniesiono. Dziedzic długo mierzył w sam łeb i strzelił. Suka tylko się zwinęła i z grobli wpadła do wody, walczyła z falami, ale się jeszcze wydostała na brzeg i charcząc ciężko, uciekła w łąki.

Witek zlaźł na ziemię i żałośnie patrzył w mrok.

– Tak obganiała żruboki albo i śwynie, skoda! – mówił skłopotany utratą pomocnicy. – Co jej się stało? żeby się choć przódy osceniła! – medytował i lży poczuł w oczach. Przerwali mu te myśli, wołając do pomagania przy zasuwaniu stawideł, bo przybór ustawał.

Gdy już odchodził, noc była zupełna i księżyc świecił. Cisza i mgły rozpościerały się nad siwiejącymi rozlaną wodą łąkami. Młyn tylko turkotał, a od dworu szły odgłosy skrzypienia wrót, czasem końskie rzenie nadbiegało z koniczyn lub ode wsi przejmujące tony piszczałek, albo jakieś splątane gwary. Witek popatrzył na łąki raz jeszcze, ale nic dojrzeć nie mógł, tylko jeszcze większa żałość zaczęła go gniesić i płacz go chwycił, więc poszedł na swoje legowisko do szopy, gdzie stały stare bryczki i różne niepotrzebne narzędzia gospodarskie. W starym, przegniłym wasągu sypiał razem z Finką.

Matka też wkrótce przysłała przynosząc mu trochę zupy i kawałek mięsa.

– Mos tu, pochlipej se, jest ta i štucka, zidz se.

– Matulu, Finka się ano zepsuła. Dziadzic ją zastrzelili tero.

– Skoda sucyska. W południe ją wołałam – nie przysła.

– Hale, i wcoraj nie była na paśniku ze mną.

– Może się kaj osceniła i przy psiokach warowała.

– A kiej się zepsuła.

– Boli cie jesce?

– Przecie, ze boli.

– Ta suka piekło zrobiła w domu. Jewkę wyprała, gubernantkę<sup>6</sup> odprawiła. Jantka jak zwała przycirkiem<sup>7</sup> w łeb, to mu jojko nade ślepiem ano wysadziło – i pomstowała, jak nieboskie stwozynie. Loboga z taką przekleśnicą, gorse to lo ludzi kiej tyn pies paskudny.

Gdy zjadł, okryła go starym szynelem i poszła.

Chłopak usnął, ale często się budził i krzyczał przez sen: to na sukę, to na żrebaki, to gdzie się rwał uciekać z płaczem, to pokrzykiwał wesoło i szeptał: Paninko – i cmokał ustami na konia – i znowu zasypiał cicho.

Już nad ranem, gdy szaro zrobiło się na świecie i kontury rzeczy zaczęły się w przedświcie wyraźniej odznaczać, a koguty piałły donośnie, przebudziło go ciche skomlenie i lizanie po twarzy.

– Leżyć! – mruknął odruchowo i wyciągnął rękę, aby odgarnąć sukę od siebie, ale cofnął dłoń prędko, bo trafił na mokrą szerść. Rozbudził się zaraz i uniósł na pościeli.

– Finka! – szepnął ze strachem. – Loboga, Finka! Suka leżała wyciągnięta i jęczała cicho liżąc go po twarzy, szyi, piersiach. Dwa pstrokate szczenięta, zwinięte w kłębki, wisiały przy jej piersiach, całe zamazane krwią i błotem.

– Ona na pewno do scynioków chciała się dostać, a pedzieli, że się zepsuła – szepnął głęboko rozrzewniony, gładząc ją po mokrym łbie, który mu kładła na piersiach i wyciągała coraz wyżej, dysząc.

– Finka! psisko moje, sucysko bidne, Finka! – szeptał przez łzy i ocierał nadolkiem koszuli jej bok krwawiący i obtulał jak mógł szynelem. Suka zamglonymi, zamkniętymi żółtawo oczyma patrzyła w niego i rzeżała ciężko – coraz ciężej. Wyprężyła się w jakimś przedzgonnym dreszczu, potem zaczęła drzeć cała i nogami drapać, bezsilną gębą chwytając to szczeniaki, to Witka, skomlała cicho – polizała chłopca i dzieci, zawarczała przeciągle i skurczona skonała.

Witek już nie usnął i ogrzewając własnym ciepłem skostniałe psiaki, szeptał:

– Bidoki, siroty! Przeniesła waju bez rzyke do mnie – to leipse, kiej drugi cłowiek.

Rano, gdy wyganiał żrebaki na pastwisko, wsadził szczenięta sobie za pazuchę, ostrożnie je ułożył i z jakimś ojcowskim akcentem w głosie powiedział:

– Nie bójta się, jo wos wymamcę – bedzieta i wy jesse obganiać żruboki albo i śwynie...

---

<sup>6</sup> G u b e r n a n t k a – zniekształcony wyraz: guwernantka – nauczycielka w domach prywatnych.

<sup>7</sup> P r z y c i r e k (gwarowe) – cebratka, w której dają jeść świniom.

## TOMEK BARAN

Tomek otworzył drzwi do karczmy, para buchnęła z izby niby z obory, i zaduch prawie lepki od gęstości go owiał; ale Tomek nie zważał na to, tylko wszedł i poprzez naród splątany gęsto niby żyto na boisku, przechylał się do drewnianych krat, za którymi stał szynkwias.

- Dać półkwaterek, ino krzepki.
- W blaszkę nalać?
- Nie, w szkło.

Odmierzyła mu karczmarka. Zapłacił, wziął buteleczkę, kieliszek i poszedł na drugą stronę izby, do drugiego stołu, usiadł pod ścianą, wódki w kieliszek nalał i wypił. Strzyknął śliną przez zęby, obtarł usta rękawem i zamyślił się. Żarło go coś we środku, bo nie mógł usiedzieć spokojnie, spluwał, bił pięścią w stół, to unosił się chcąc biec, ale opadał na ławę z cichym jękiem i rozcierał oczy kułakiem, bo mu coraz to łza spływała na suche, sinawe i przegryzione policzki, a piekła go jak ogień. Prawie nie wiedział, co się wkoło niego dzieje. Jakieś ciężkie strapienie leżało mu na sercu kamieniem, bo widać było, że rady sobie dać nie mógł i że z coraz większą bezradnością opuszczał ramiona, i że coraz częściej wzdychał i drapał się po głowie.

A karczma aż się trzęsła od hołubców. Ze dwadzieścia par, zwartych ze sobą szczelnie na niewielkiej przestrzeni, krążyło w kółko z przytupywaniem i pokrzykiwaniem:

- Hop! hop! hop! – leciał głośny pokrzyk.

Wódka i upojenie tańcem dymiły ze łbów, a podniecenie dzikie tak podrywało tańczących, że coraz zacieklej przytupywali i coraz szybciej okręcali się w kole.

Czerwone wełniaki kobiet pstrzyły się między białymi sukmanami niby maki w polu do-  
stałego żyta. Kończący się dzień rzucał przez małe, zamarznięte szybki karczmy smugi ruda-  
wego światła, a mały kaganek, świecący nad okapem, chybotał się ciągle i podrygiwał jakby  
w takt hołubców.

Wrzawa głucha podnosiła się niby szum splątany i niewyraźny, z którego tylko wylaty-  
wały, jak błyskawice, jędrne: Hop! hop! hop! – i znów na chwilę tonęło wszystko w zgielku  
ogromnym; bo przy stołach, po kątach, przy szynkwiasie – gdzie tylko miejsce było, wszędzie  
stali ludzie i raili: o łońskich kartoflach, o księdzu proboszczu, o dzieciaskach, o dobytku, o  
wszystkim, co im leżało na „wątpiach” i z czego w kompanii zawždy łacniej się wygadać i  
łacniej mieć pożalenie; bo nawet, na ten przykład, jako i bydlę i ze źródła wody samo się nie  
napije, a w kompanii pije i ze „chrapu”, tak i człowiekowi samemu nie żyć, w karczmie się  
nie weselić, do lasu nie jeździć, ino jak Pan Bóg przykazał zawždy z drugimi – z bratamy.

Wszyscy razem mówią, przepijają do siebie, ściskają się z serdecznością i „kuntentność” z  
wódką rozpromienia wszystkie oczy i coraz głośniejszy krzyczy: Hop! hop! hop!

Dyle podłogi pod ciężkimi przycinaniami obcasów skrzypiały coraz ciężej – a basy, umieszczone wysoko na kłodzie z kapustą, śpiewały coraz grubiej:

– Bom, cyk, cyk! Bom, cyk, cyk!

A na to im odpowiadały lipowe skrzypeczki:

– Tuli, tuli, tuli, tuli, tulity, tulity!

I ochota była siarczysta i niepowstrzymywana. Twarze były przy twarzach, piersi przy piersiach, plecy przy plecach – a wszystko tak na wskroś przeniknięte rytmami skocznej muzyki – że oberek szedł taki wściekły, zamaszysty, chłopski, aż sęki wylatywały z podłogi, szybki jęczały żałośnie, a grube, pękate kieliszki na szynkwasio, aż dziw, jak podskakiwały z uciechy.

Od czasu do czasu karczmarz brał bęben z brzękadłami, potrząsał nim mocno niby chłop Żyda za łeb, uderzał pięścią w skórę do taktu skrzypkowi.

– Dyż, dyż, dyż! – brzmiało wtedy zgiełkliwe, zagmatwane i ogłuszające brzękiem – i tupot był zaraz siarczystszy, i pokrzyki więcej schrypnięte, a kaganek aż przykucał i kopał sadzą na powiewające, niby płaszcz, kapoty. Para z topniejącego na butach i przy drzwiach śniegu, dym z papierosów i mrok, jaki panował w ogromnej izbie, przysłaniały tańczących, że zaledwie tylko migotały czerwone twarze i niewyraźne zarysy ciał, i barwy jaskrawe, w tym zapamiętałe się kręcącym wirze ludzkim.

– Kto mi będzie usługiwał, usługiwał... cha... cha... cha... i... i... i... – chichotały wesoło skrzypeczki.

– O, to ja, tylko ja... a... a... a... – odpowiadały z jakimś podrygiwaniem basy i zaraz do spółki zaczęły śmiać się i baraszkować, i przenikać wszystkich śmiechem wesela, aż karczma zdawała się trząść od przyływu pijackiej wesołości.

*Jedna baba oszalała  
A druga się wściekła;  
Trzecią diabeł okulbaczył  
I pojón do piekła.*

Zaśpiewał ktoś jak na pobudkę, bo zaraz zaczęły się zrywać inne zwrotki i bić wesołością coraz większą.

Tomek tylko wciąż siedział zadumany; nalał drugi kieliszek, ale mu go wywrócił jakiś roz hulany tanecznik, więc kopnął ze złości jego tancerkę i wstał, bo i zimno mu było od okna, i markotno siedzieć samemu; poszedł za szynkwasio do alkierza.

Narodu i tam było pełno, buteleczki ściskali w garściach, całowali się, gadali i przepijali do siebie, baby wstydliwie przysłaniały się zapaskami i cmoktały okowitę z rozkoszą. Pocęstunek szedł rzetelny – katolicki: stać było kogo na arak – stawiał, abo na spirytus z asencją – stawiał, abo na okowitę samą – stawiał, abo tylko na piwo – stawiał.

Stawiał z dobrego serca i z ochoty.

Wszyscy byli już pijani, ale nic to: raz kozie śmierć, gorzalina nie piekło, a biednemu kiej niekiej trzeba pocieszenia duszy grzesznej i choć kapkę na frasunek.

– O psie jeden – bełkotał pijany chłop do komina – takiś to kum! czekaj!... A ja go tak, a un me tak, a ja go za orzydle, a un me w pysk!... Takiś to kum, o psie jeden, taki krześcijan!... a un me w gembe!... Bartek zmógł siła, to i ciebie zmoże... zmoże... psia... zmoże... A ja go tak, a un me tak, a ja mu pedom grzecnie: bracie!... a un me w pysk! a ja mu pedom: kumotrze!... a un me w pysk! a ja mu potem: takiś ta kum, taki krześcijan... – mruzczał coraz niewyraźniej i bił pięścią w komin, aż się echo rozlegało, i zataczał się coraz sennie.

*Ja za wodą, ty za wodą,  
Jakże ja ci buzi podom?*

*Podom ja ci na listecku,  
A naściże, kochanecku*

– zaśpiewała Karlina, ta, co to w kopania męża pochowała i sierociła teraz sama jedna na półwłóce pszennej ziemi, z koniem, z krowami i z niezgorszymi jeszcze szmatami po nieboszczyku. Rzuciła się do młodego chłopaka, stojącego pod ścianą i znowu mu zaśpiewała:

*Wojtecku, Wojtecku,  
Nie siedź na przypiecku –  
Ino chodź do wdowy,  
Bo ma chleb gotowy.*

– Wojtek, w twoje ręce, parobku kochany. Głupiś, będziesz się ta ojców bojał. Jakem rzekła: grunt ci zapiszę, to zapiszę, bo to nie mój, co?

*Będziesz miał kiej w rajcu – moje ty kochanie,  
Zjesz syrek na wieczór – kurę na śniadanie.*

– Ojcu duchownemu się pokłoń i na zapowiedzie daj, wieprzaka się uszlachtuje, kołaczów upiecze, araku kupi i weselisko się wyprawi, że aż ha!

– Oj, stara a głupia! Zębów ni ma, a gryzłaby! – odezwał się ktoś z boku.

– Hale! gdzieś se wraź ślipie, a nie komu w zęby. Widzicie go, „deputnik<sup>8</sup>” pieski! – rzuciła się Karlina gwałtownie.

– Cichojsa, kumo, ja wam coś rzeknę.

– Psu se rzeknij. W palto się ustroiła pokraka i myśli, że „sielny” pan – a choć ty po wsi szczekasz jak ten pies, ja ci i tak gorzałki w gardziel nie wleję.

Zwróciła się do Wojtka, odciągnęła go w kąt i namawiała go sobie dalej, a obok przy stoliku siedziało dwóch chłopów i popijało z pękatej butelki. Jeden drapał się po głowie i milczał, a drugi gestykułował szeroko i gadał:

– Miarkujcie tylko, że Czerwiński to wam rzekł: termedie<sup>9</sup> różne szły na mnie jak baty na żydowskiego konia, a ja nic! Kobita mi się przy dziecku zmarnowała – nic! konie mi ukradli – nic, ino czekam, Jędrak mi zachorował na ospę – o psiachmać! Jak nie wypiję okowitki z tłustością, jak nie zaniesę dobrodziejowi na mszę świętą – i jak ręką odjął! Grzela, rób tak samo, a zobaczysz, że ci pomoże. Czerwiński ci to mówi, to Czerwińskiemu wierz.

– Dziecisków jak pliszek na podorówce, kobieta na świeże<sup>10</sup> chora, podatek trzeba płacić, kartofle mi zmarzły, bieda aż piszczy – a tu na to wszystko – patyk złamany. Laboga, laboga! Pijcie no do mnie! Widzi mi się, że nie poradzę, na rozum bierz i z tej, i z tamtej strony i nic wykalkulować nie mogę.

– Głupiś, w twoje ręce, Grzela; już ty lepiej w pysk od dozorecy bierz, a na rozum nie bierz, bo nie poradzisz, a pięścią kiedy niekiedy weźmiesz, ale i robotę miał będziesz na plancie, i świeży grosz. Miarkuj se ino – Czerwiński ci to mówi! a Czerwińskiemu wierz, bo jako dobrodziej powiedzieli, co w parafii on jest jedna głowa, a Czerwiński druga! Niech mu Bóg da zdrowie, mądry on szlachcic i uczony. W twoje ręce, Grzela.

– Pani Jackowa, moja pani Jackowa; flaszeczkę esencji, kwaterkę spirytusu, dwa rządki bułek i kielbasy font! – wołano od stolika pod oknem, przy którym siedziało czworo ludzi; dwoje ubranych z miejska i dwoje po chłopsku.

---

<sup>8</sup> D e p u t n i k (gwarowe) – mędrak, frant miejski (określenie pogardliwe).

<sup>9</sup> T e r m e d i e – kłopoty, ambaras.

<sup>10</sup> Ś w i e ż e (gwarowe) – świerz (choroba skóry).

– Pani Jackowa, moja pani Jackowa, a octu do kielbasy, a talerza dla pana Strzelca! Widzi pan Strzelec, ja powiem, jak to było...

– Cicho, stary, ja dokumentniej opowiem, bo ty nie pamiętasz – przerwała mu żona. – Idę se duchtem na ten przykład, idę...

– Stul gembę, zaraz będzie tu ozorem mleć po próznicy. Ja powiem. Pańskie zdrowie.

– Pijcie z Bogiem.

– Słodka i mocna, panie Strzelec, jeszcze jednego!

– Wasze zdrowie, Andrzej.

– Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

– Bóg zapłać, Andrzej, ale ja już nie mogę.

– Mój najukochańszy panie, jeszcze kieliszek, tylko ździebko, choć łycka, o... Zaraz powiem, jak to było. Żona mówi: idę se duchtem niby przez działkę pana Strzelca, powiada, leży coś; zając czy nie zając – nie; ni ma ogona, powiada, nie cielak, a i nie świnia, bo nie kwiczy. Baba stanęła, ba, aże ścierpła ode strachu, że tylko odmawia *Pod Twoją obronę*; a ten zwierz leży furt i rozdziawia gembę, powiada, a kły miało jak palec – a że babski naród zły naród i zapamiętały czy to w złości, czy w dobroci – to jak nie zdejmie trepiska z nogi i jak nie chlaśnie tego zwierza w łeb, i jak nie weźmie uciekać z płaczem do domu – powiada. Przyleciała do chałupy i powiada: Stary! – A co? – odrzeknę. – Zabiłam jakiegoś zwierza na duchcie – powiada. Nie odrzekne nic, bo myślałem, że ją tak z chodu zamroczyło i plecie trzy po trzy, zwyczajnie jak baba. A ta wciąż swoje: – Zabiłam zwierza czy cosik na duchcie. Grdyknąłem ją ano przez plecy, bo co tu będzie pleść, a ta znowu swoje: – Zabiłam zwierza na duchcie, laboga! Z babą nie poradzę, myślę sobie, a może i człowieka zabiła albo co. Założyłem siwka i pojechałem zobaczyć, jako mnie wtedy w lesie i spotkał pan Strzelec.

– Andrzej, nie cygańcie! Złapałem was, jak kładliście sarnę na wóz.

– Jeszcze kropieczkę gorzałki, panie Strzelec – na drogę. Ja prawdę rzekłem, jak na spowiedzi przed dobrodziejem. Pan Strzelec jest mi więcej niż ociec, niż brat, bo mój dobrodziej kochany. Wiem, że jak pan Strzelec chciał będzie, to ja w sądzie sprawę przegram, bo już na świecie takie urządzenie jest, że zawsze szlachcic górą, a ty, chłopie, cierp, rób i płac! Wiem, że pan Strzelec człowiek rzetelny, zgodny i sprawiedliwy, to krzywdy mi nie robi, a że pana kocham niby rodzzonego – świniaka jutro żona zaprowadzi po przyjacielsku i zgoda będzie. Co tam sądom dawać zarobek! Pani Jackowa, jeszcze tego samego.

– Dołożę jeszcze kaczuszków i miodu plasterek, bo wiem, co pani Strzelcowa jest pani szlachetna i delikatna, w szkołach była edukowana, jako i pan Strzelec, a nie takie chłopychamy, jak my na ten przykład – dodała chytrze kobieta chyląc się do kolan Strzelcovej, ta zaś ją ujęła za szyję i z rozrzewnieniem zaczęły się całować.

– Już ja mam takie miękkie serce, że nie tylko wam sarnę daruję, Andrzej, ale jakby wam potrzeba było sosenki jakiejś albo i dąbka młodego – to odmówić bym serca nie miał.

– Pańskie zdrowie, duszo miłosierna i krześcijańska.

Zaczęli przepijać do siebie często, całować się serdecznie i szeptać po cichu, że od drugiego stołu znów słyhać było chłopów:

– O juchtra! Zmarnował się człowiek. Wyście z nim razem mieszkali?

– Tylko przez miedzę. Patrzyłem się na wszystko, to juści że człowieka markotność roz-biera niby choroba.

– Czerwiński wam powie tak: mógł jeszcze żyć, „co go wypominam podczas wieczoru, ale w dobry sposób” – mógł.

– Hale! Na wielki dwór wcale już nie chodził, tylko mu ciągle odmiatało; postękiwał, postękiwał, aż i zmarł chudziaszek.

– Doktor u nich był?

– I... doctory. Jak kto ma zamrzeć, to choćbyś mu gruntu hubę<sup>11</sup> dał i dobra wszelkiego po grdykę – nie ożyje.

– Prawda! W twoje ręce, Grzela!

– Pijcie na zdrowie. A kto był winien temu? Po prawdzie i sprawiedliwości, że tylko świnia i baba, nie kto drugi. Maciorę miał utuczoną niby kłoda; prowadził ją na sprzedanie, bo grosza było potrzeba. Poszedł z ona świnia; śniegi zwały po pas, nautykał się, namarnował, zwyczajnie jak przy handlu. Potem kiełbasy zjadł, zastygła w nim i zmizerował się. Żeby był gorzałką zapił, nic by mu, jako Bóg na niebie, nie było, ale nie pił i półkwatka.

– Bał się nieborak piekła w chałupie.

– Ho, ho! Babę miał marną, ale imistą w garści; prałać go nieraz, prała!

– Wasze, kumie.

– Niech będzie na zdrowie. Czerwiński wam tak powie: żeby był „psiąkrótkę” prał, ażby jej pomroka na oczy wlaża, to miałby żonkę grzeczną, że ha!

– Prawdę mówicie, sołtysie, prawdę. W garści miękki był, chłopskiego pomyslonku nie miał i teraz ziemię gryzie – a wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie.

– Na wieki wieków, amen. W twoje ręce, Grzela.

– Takiście to mąż? – kobieta tam ledwie żyje, a wy tu pijecie sobie, pogany! – krzyczała jakaś baba przepychając się do nich.

– Co mi tam!... dzieciaków niby śmiecia, a tu nowe...

– Grzela, nie obrażaj Pana Boga, bo ci jeszcze je pobierze...

– Napijcie się, kumo, kapkę i zaraz pódziemy...

– A jak to mnie Jezusiczek – zaczęła kobieta – nie pocieszył na starość dziecięcym, a tak prosiłam, do Częstochowy-m chodziła i u różnych doktorów się likowałam i nic – sama zostałam na świecie, jako ten grzeszny palec... sama.

– Ale, miej baba dziecko, jak ci sto lat minie.

– Nie gadałbyś, Czerwiński, nie byłam to młoda, co?

– Pan Bóg wstąpił w niebo, diabeł w babę, a kwas w piwo – tylko że nie wiadomo kiedy! – miarkuj se to, niewiasto, bo ci tak Czerwiński rzekł.

W kącie na skrzynce siedział młody chłopak, organistów miejscowych syn, a przed nim stała bardzo stara kobieta i szeptała przyciszonym, dźwięcznym głosem:

– Siedemdziesiąt sześć років żyję, paniczku – tom widziała i białe, i czarne, i różne. Sługiwałam i u takich państwa, co tylko w ogiery jeździły, na srybrnych miseczkach jedli i po zagranicznemu gadali – a gdzie są oni teraz! gdzie? I na książce umieję, i gospodynią pierwszą na całą wieś byłam, i dzieci miałam, i dobra wszystkiego dotąd... o... i wszystko gdzieś przeszło, skapiało jak to słońce latowe, co go nam Pan Jezus daje grzesznym na pocieszenie. Wiem ja wszystko, paniczku, wiem, że czy to pańskie życie, czy to chłopskie życie – to zawsze nic innego, tylko ostatnia mizeracja jest. Ja prosta baba jestem, siedemdziesiąt i sześć років mam – to sobie już wszystko wymiarkowałam. Paniczku! sześć tysięcy lat świat se stoi?

– Prawie sześć tysięcy lat.

– A widzi paniczek, że ja wszystko wiem, a według tego tak myślę: że tyle tysiączków świat stał sobie beze mnie i dobrze było, to przez co ja tyle років przecierpiałam?! Co tu po mnie było?

– Ano trudno, Pan Bóg życie dał... to...

– Paniczku – przerwała mu szybko stara – ja prosta baba jestem, a paniczek uczony, bo na organach grać gra, po łacińsku z ojcem duchownym paniczek śpiewa i wie, kiedy wyciągnąć nutę cienką, a kiedy grubą – ale powiem – może ja grzeszne mam myśli – ale powiem: że to pewnikiem diabeł wypuszcza sobie duszyczki na świat, żeby cierpiały, żeby się tłukły w

---

<sup>11</sup> H u b a – tu: włóka.



ostatniej mizeraacji przez tyle lat, co ja. To nie Pan Bóg, choć w książkach stoi i księżde mówią: nie. Co by ta Jezusieckowi przyszło z tego, że tyle narodu się nacierpi, nabieduje, namarnieje... Pan Bóg jest dobry pan i sprawiedliwy... Nie słodkie jest życie, nie aksamitne – tylko drze niby zgrzebło, aże się człowiek krwią serdeczną oblewa.

– Co wy też, Jagustynko, wygadujecie, przecież to grzech...

– Tylko krzywdę drugiemu człowiekowi robić jest grzech, a ja bym psa nie żgła kijaszkiem, bo żyw i tak też cierpi przez to. Paniczku, prosta baba jestem, ale serce mam jak ten węgielek przez ogień spieczony, przez gorzkość, com ją piła całe życie i za siebie, i za drugich, i wiem, że diabeł dał życie, aby się ludziska po wiek wieków marnowali po świecie, przez złość do Pana Boga, ale Jezusiczek najukochańszy zlitował się nad nami, przeparał złego i po trochu wybiera se ludzi do swojej chwały – i wybierze kiedyś wszystkich. Ja tylko czekam, aż kostucha przyjdzie i rzeknie: Pódzi!... czekam i pacierz oto mówię, niechby najprędzej oczy przywrzeć, nie mieć już nijakiej turbacji ni biedy – i odpocząć sobie rzetelnie, odpocząć, paniczku...

Wyprostowała się nad drzemającym organiściakiem i suchą, przeradloną troskami i starością twarz zwiesiła, a w wybladłych, przepalonych łzami oczach błysnęły jakieś łzy... obtarła je szybko zapaską, westchnęła cicho i zwróciła się do Tomka siedzącego samotnie na skrzynce z flaszką w garści.

– Tomek! tobie z oczów coś złego patrzy – szepnęła dotykając jego ramienia.

– A co by, jak nie bieda? bo to babka nie wiedzą?...

– Słyszałam coś, ale ludzie różnie gadają, że nie wiadomo kiej wiara, a kiej para.

– Dymisję mi dali – szepnął chłop smutnie.

– Bez co?

I w głosie jej zadźwięczało ogromne współczucie.

– Bez co?... bo trzeba było dawać dozorczy: to gąski pod jesień, to masła na zapusty, prosiaka i jajków na Wielkanoc, to kuraków na Świątki – a ja nie nosiłem jak drugie: skąd wziąłbym? Dzieciom nie było co dać jeść – kobieta mi się z biedy zmarnowała, krowa padła też nie przez dobrość, kartofle, wiece, jakie były łoni... mniej wykopałem, niż wsadziłem. Darłem się prawie i ani żonie, ani niczemu nie poradziłem; harowałem na służbie i w domu, i w dzień, i w nocy, a biedy nie zmogłem. Dozorca ciągle pomstował na mnie – com mu miał dać? pod żebro może, bo sam z dziećmi nie mieliśmy co na ząb położyć. Pędził mnie i pilnował przez złość coraz barzej. Pisał do naczelnika laporta, że jestem hardy, że lenciaj<sup>12</sup>, że na służbie śpię, że plantu nie obchodzę – potem powiedział, że żelazo ukradłem z magazynu, że...

– Tomek, wzięłeś? powiedz mi prawdę, już ci wszystko jedno, co?

– Nie wzionem, babko, nie – żebym tu jak zły pies skapiał przy świętej spowiedzi, prawdę mówię, nie kradłem nigdy, kradli nieraz drugie kolegi, ale mój ojciec nie kradli, to i jego syn nie będzie złodziejem. Biedny ja jestem, ale i tak złodziejem nie jestem.

– I tylko cię przez to wygnali. Powiadali, że żelazo znaleźli u ciebie...

– Juści. Rzetelna prawda, znaleźli, ino że nie ja przyniosłem. Rafałów Michał obiecał dać dozorczy pięćdziesiąt rubli, jak go zrobi dróżnikiem, a że wakansu<sup>13</sup> nie było, to on podrzucił u mnie żelazo i denuncjował. Rewizję zrobili u mnie, znaleźli i wygnali mnie. Wszystko przepadło, bo chciałem wiedział, kto to zrobił – świadka nie miałem. Sześcioro narodu zostało bez chleba. Zarobić nie ma gdzie, jeść nie ma co, żyć nie można, a jak Jezus miłosierny nie pomoże, nie ścierpię, nie ścierpię!

Jęczał bezradnie i łzy mu pociekły strumieniem po szerniałej twarzy.

– O dolo ludzka: tylko płacz policzki przeżre, tylko dusza z bolenia skurczy się jak ptaszek na mrozie, a żaden poratunek znikąd nie przyjdzie. Tylko głupi naród mówi, że jest jaka dobroć na świecie; oj, jest dobroć, aże gardłem wyłazi! – szepnęła gorzko stara.

<sup>12</sup> L e n c i a j (gwarowe) – tu: opieszalec, leń, nierób.

<sup>13</sup> W a k a n s – wolne miejsce (posada) do objęcia.

– Nie daj się, Tomek; i złego Pan Jezus przeparał to czemuśby poczciwy człowiek nie poradził biedzie z pomocą Paniienki Najświętszej – rzekła mu pocieszająco i poszła do szynkwasu; kupiła dwa rządki bułek, kwartę kaszy jaglanej i z tym powróciła do niego.

– Tomek, weź kaszę i bułeczki dla dzieci, biedna jestem sierota, dać bym dała, ino nie mam co. Kto ma owce, kupi co chce, a ja komornicą jestem. Ale! Tomek, poradzę ci coś...

– Poradźcie, babko, to wam Pan Jezus i ta Przenajświętsza zapłacą za mnie biednego.

– Idź jutro do dozorczy, obłapij go za nogi, może się ulituje; przecież sam ma dzieci, bo samemu tobie zdychać z głodu, nic to – ale bidota taka, co jeszcze nic nie kalkuluje, nie potrafi ścierpieć i grzech jest, coby skamlały dzieciska z głodu.

– Nie, babko, nie pójdę – szepnął z ponurą zaciętością Tomek. – Niech skapieją, przyjdzie zdechnąć z głodu, to zdechnę, a jego prosić nie będę. Leżałem ja temu piekielnikowi u nóg i o robotę jak pies skamlałem, i jak pies skamlałem o zmiłowanie nad dziećmi – to mnie kopnął nogą i kazał wyciepnąć za drzwi!... Nie, nie pójdę, bo się boję grzechu, bo się boję – bo jak go zobaczę, to mnie tylko ciągotki bierą, żeby go za gardziel chwycić i jak złego zwierzaka zakatrupić!

Szeptał przytłumionym nienawiścią głosem i pięści zaciskał coraz silniej, potem chwycił się za piersi i znowu zaczął:

– Aż mnie w piersiach boli, tak się zmagam, ale ścierpiałem tyle, że więcej nie wiem, czy poradzić bym poradził.

– Baran, trzymaj ty w sobie tego wilka mocno, trzymaj, bo o nieszczęście nie trudno.

– Do boru jutro pójdę siągi rąbać.

– Koszula nie rządzi, kiedy brzuch błądzi.

– Od ćwierci sążnia złoty i groszy dziesięć psiadusza Żyd tylko płaci i potrzeba na to dobrze dwa dni żebra wyciągać.

– Tomek, idź ty zaraz do proboszcza i proś – on się zna z urzędnikami, to mógłby przemówić za tobą, aby ci robotę jaką na plancie dali.

– Hale, kiedy ksiądz jeździ do dozorczy i znają się ze sobą dobrze...

– Głupiś, ksiądz zawdy na sprawiedliwość i na biedny naród ma większe уваżanie. Poradzić ci co może i pomóc.

– Nie mam co w pazury wziąć, a tak gołkiem, bez niczego, śmiać nie będę.

– Głupiś, dzieciska mu na podarunek nie weźmiesz, a co innego masz?

– Prawda, ale... zawsze... nie zanieść nic dobrodziejowi...

– Głupiś, mówię ci, idź zaraz, do nóg dobrodziejowi padnij, wszystko opowiedz – a tylko się w piersi bij i płacz, i mów o dzieciskach – to zobaczysz, że ksiądz zmięknie zaraz.

– Ta! to i pójdę – szepnął prędko przekonany i wstał ze skrzynki, kozuch obciągnął, baranicę na głowę nadział i przepychał się przez alkierz i przez tańczących.

Stara wyszła za nim, przed karczmą powiedziała mu jeszcze:

– Tomek, nie bądź hardy z dobrodziejem i proś grzecznie, bo chłop bez gruntu, to jak ptak we wodzie, rozplaszczy się skrzydełkami i musi płukać, coby mu drugie pomogły, boby sam utonął.

Nie odrzekł nic, bo go taki mróz owionął, że aż się zachłysnął zrazu, ale baranicę głębiej jeszcze nasunął na oczy i poszedł prosto od karczmy przez pola wydeptaną ścieżką.

„Będziem jedli, będziem pili, będziemy się weselili!” – śpiewały za nim skrzypeczki.

„Jak Bóg da, jak Bóg da!” – mruzczały ciszej basy podrygując wesoło, ale Tomek nie słuchał tych głosów, co się wydzierały przez strzechę karczmy i rozpryskiwały w mroźnym powietrzu niby brylantami skrzący się deszcz dźwięków – tylko szedł ostro.

Na polach widno było od śniegu i księżycy jak w dzień.

Olbrzymie białe chmury leżały w przestrzeniach, co się rozciągały nad ziemią w wielkim majestacie ciszy i ogromu niby srebrnopłowe opony. Równiny, pofalowane wzgórzami, oznaczone nagimi szkieletami drzew, zsypankami kamieni – rozlewały się morzem oślepiąją-

cym białością skrzącego się śniegu. Taka głęboka cisza panowała w polach, że Tomek długo jeszcze słyszał odgłosy karczmy i chwilami odwracał się, by spojrzeć na nią i na migoczące złote plamki światełek wsi, ale potem przyśpieszał jeszcze kroku i biegł nie zważając na mróz, kłujący go w policzki i zapierający mu oddech.

Przydrożne, oszroniałe krzyże rzucały błękitne, długie cienie; zdejmował przed nimi czapkę, żegnał się nabożnie i wdychał głęboko – czasami zabijał ręce skostniałe o ramiona, zaciskał mocniej pas i szedł dalej.

Czasami stado kuropatw podrywało się z cichym a przejmującym krzykiem, kołowało chwilę i zapadało w białej, srebrnawej mgłę, wiszącej nad śniegami – to znowu zając sadził przez pola, przystawał, nasłuchiwał, stawał słupka i pomykał dalej; to znowu jakaś bezkształtna, szara chmura płynęła przez przestrzenie i rzucała błękitnawy cień na śniegi; to jakiś głos suchy mrozu leciał nad ziemią i rozbity w miliardy drgań, skrzył się w blaskach i mącił ten boski spokój nocy zimowej; to pomruk, podobny do westchnienia ciężkiego, biegł od lasów; to szum głuchy i odległy – i była znowu cisza, martwota, pustka i wielka, słodka senność na ziemi. Tomek nie zważał na nic, bo sobie w myśli układał: jak to on przyjdzie do księdza, jak padnie mu do nóg, jak powie: Dobrodzieju! jak się rozplacze i zacznie przed tym kochanym ojcem wyjawiać swoje strapienia i nędzę swoją, i tak się już przejmował, że łzy rozczulenia zabłysły mu w oczach, stoczyły się po policzkach i zamarzyły na wąsach. A potem myślał o domu i dzieciach:

– Marysię dam w służbę, Józwę też – będzie dziewczuchom lepiej, a i mnie lżej – ale coś go zabolalo w sercu na myśl rozstania się z dziećmi. – Śpią se robaki kochane, śpią – pomyślał obmacując starannie bułki i kaszę, które miał w zanadrzu. – Pan Jezus da doczekać wiosny, to o robotę będzie łatwiej i ony coś niecoś zarobią – myślał. – Praży też Jezusieczek, praży – szepnął rozcierając sobie twarz śniegiem. – Folguje se Pan Jezus, folguje... – i przystawał nasłuchując. Od stodół dworskich, z daleka majających szarymi ścianami, dochodziły odgłosy psiej wrzawy. Zaczął iść wolniej i coraz lepiej wyteżał wzrok i trwożliwiej, bo ten psi gwar, naszczekiwania, skowyt – brzmiały coraz bliżej i groźniej. Wkrótce zobaczył kilkanaście psów, coś zajadle rozrywających pomiędzy sobą.

Na folwarku owce zdychały na motyllice całymi setkami, więc je służba po odarciu ze skóry wywłoczyła za budynki i zakopywała w śnieg. Ze wszystkich stron psy się zlatywały do biesiadnego stołu i przez całe dni i noce ucztowały żrąc się o padlinę.

Tomek ominął je z daleka i poszedł na przelaj ku wsi rozrzuconej na stokach wzgórza, uwieńczonego małym drewnianym kościołem i gromadą lip potężnych, co usiadły niby starce dokoła i swoimi olbrzymimi, rosochatymi ciałami broniły go od wichrów i złej doli, gwarząc szeptem w ciche miesięczne noce.

Plebania stała niżej nieco, w środku ogrodu, rozrzuconego na zboczu wzgórza i dotykającego wsi. Przed gankiem, większym niż niejedna chłopska chałupa, Tomek się zatrzymał, czapkę zdjął i zaczął przestępować z nogi na nogę, bo odwaga opuściła go zupełnie; zaglądał w oświetlone, ale przysłonięte roletami okna, drapał się po głowie, spluwał, to znowu się żegnał dla nabrania odwagi, ale wejść nie śmiał.

Kościół stał tak blisko i tak czerniał tajemniczo, a okna tak dziwnie się lśniły księżycowym światłem, lipy miały dzisiaj taki groźny wyraz, a krzyże odwiecznych grobowców na cmentarzu były tak wielkie i tak się ostro rysowały na tle śniegów, że Tomka jakiś zabobonny strach ścisnął za gardło. Zaczął w sobie dygotać, ale stał wciąż.

Chwilami posepna chmura odgradzała księżyc od ziemi, rzucając przejrzysty niby od wachlarza cień, to znów w ogrodzie, w krzakach, coś zatrzeszczało tajemniczo; czasem gonty na kościele albo żerdzie w płotach pękały z hukiem od mrozu, to znowu wrony łopotwały skrzydłami i tłukły się z wrzaskiem po drodze, po kupach śmieci; koń gdzie w stajni zarżał, rozległ się bek owiec albo kwik świń odgryzających przy korycie, przedarł się z księżych chlewów i drżał chwilę w powietrzu, aż cisza znowu zapadła i ogarnęła wszystko.

Tomek wciąż stał, patrzył machinalnie na białe opary podnoszące się z oparzelisk, to na błyszczące gdzieniegdzie we wsi światelka. Przyszły mu na myśl dzieci, więc tylko szepnął: „Bidoty kochane”, i zaraz wszedł przewyciężając nieśmiałość prosto do kancelarii proboszczowskiej.

Ksiądz na łoskot otwieranych drzwi powstał od stołu i spiesznie zakładał okulary. Tomek czapkę w kąć rzucił i jak długi runął mu do nóg..

– Ojcze! Dobrodzieju kochany! – szepnął łzawo, ściskając mu nogi.

– Co! kto to? coś ty za jeden? czego? Rzucił wylężnione zapytanie proboszcz, przestraszony gwałtownością ruchów Tomka.

– Zmiłowania przyszedłem prosić dobrodzieja. Ksiądz wsadził nareszcie swoje okulary, przyjrzał się klęczącemu i już spokojnie mówił:

– A! Tomasz Baran! Wstań, moje dziecko, wstań! Usiadł sam, kraciatą chustką przetarł okulary i rzucił ją na kupki miedziaków, porostawianych regularnie na stole.

Tomek powstał i obcierał rękawem załzawione oczy.

– Co mi powiesz? masz interes jaki, może ci kto umarł?

– Gorzej, ojcze duchowny, bo wszyscy po trochu mrzemy – odpowiedział i zaczął dosyć spokojnie opowiadać o dymisji, o braku zarobku, o biedzie, jaka go z dziećmi jadła; miał łzy w oczach a cichą, bezbrzeżną rozpacz w głosie i mówił o wszystkim z taką szczerością, że ksiądz musiał mu w części uwierzyć, bo na jego białej twarzy, podobnej do maski zblichowanego wosku, pełnej słodyczy jakby zastygłej, migotał cień smutku i współczucia.

Tomek skończył, a ksiądz ze srebrnej tabakierki tabaki zażył i długą chwilę milczał. Miał serce bardzo litościwe, ale tyle razy go wyprowadzono w pole kłamliwymi łzami i udawaną szczerością, że się teraz bał ulec, więc nastrajał twarz chmurnie, odymał groźnie usta i pokrywał, o ile mógł, rozrzewnienie, jakie czuł w sobie.

– Siódme: nie kradnij! – powiedział twardym głosem. – Gałgany, ciągle wam to mówić z ambony, he! Pan Bóg was karze, bo nie słuchacie jego świętych przykazań.

– Nie kradłem, ojcze duchowny, kiej na spowiedzi świętej mówię; nie wzionem, to tylko przez złość, że nie dawałem żadnych dyngusów ani podarunków, zmówiły się na mnie i wygnały.

– Ósme: nie mów fałszywego świadectwa przeciwko bliźniemu twemu. Nie mówisz, Baran, pacierza, nie pamiętasz, he!

– Prawdę rzekłem, ojcze duchowny, świętą prawdę, bo dozorca ciągle na mnie warł, czy było o co albo nie było – bo mu nie dawałem; bo za te dziewięć papierków, co mi w miesiąc płacili, ledwie się mogłem wyżywić.

– Dziesięciny i powinności wiernie oddawać. Mam ci ciągle przypominać, czego Pan Jezus i święty kościół katolicki naucza, he!

– Ojcze najlepszy! krześcijan jestem, do spowiedzi chodzę, na mszę świętą daję, ale zmiłowania przyszedłem prosić, bo mi dzieciska mrą z głodu, a mnie już dur przychodzi do głowy; sypiać nie sypiam od ciągłej turbacji i rady dać sobie nie mogę. Zaborgowałem się u Żydów i u ludzi; sprzedałem ostatnie szmaty, sprzedałem prosiaka, com miał ostatniego i już teraz jestem na glanc, że tylko jedna kostucha ma co brać. Laboga! laboga! – szeptał ciężko – już dłużej nie zdzierzę, jak mi ojciec kochany nie pomogą, to już i umrzeć przyjdzie.

Upadł znowu do nóg księdzu i prawie ryczał płaczem niepowstrzymanym i tak się trząsał, tak łkał żałośnie, że ksiądz odwrócił się nieco, aby obetrzeć łzy i bardzo cicho, trzęsącymi się ustami, zaczął mówić:

– Moje dziecko. Chrystus cierpiał za nas niegodnych; za nas, niewdzięczne dzieci, dał się ukrzyżować, zbeczcześcił tłuszczy podłej i nie rzekł ni słowa, choć mu ostrymi gwoźdźmi przebili ręce, przebili nogi, choć mu krew zalewała oczy i bolały rany; nie skarżył się, tylko rzekł: Stań się wola Twoja, Panie! Bracie mój... Tomku Baranie... – urwał nagle, bo mu łzy

rozczenia przysłoniły twarz, obcierał się spiesznie i szeptał: – Biednyś ty, Baran, biednyś ty, sierota... biedny...

Milczenie zawisło ciężkie, bo pełne rozbitych drgań i akcentów płaczów i skarg Tomkowych.

– Pojutrze odprawię na twoją intencję mszę świętą do Przemienienia Pańskiego, może ci Pan Bóg przemieni. Nieskończony On jest w swojej dobroci, tylko Mu ufaj, módl się, miej wiarę – mówił proboszcz poważnie.

– W chałupie nie masz już ani okruszyny chleba, a dzieciiska tylko skwierczą – szeptał w dalszym ciągu Tomek.

– Nie poradzę ci na to. Przyjdź na mszę, wypowiadaj się, to ci będzie lżej nosić ten krzyż, jaki podobało się Panu włożyć na ciebie.

Tomek patrzył na księdza ogłupiałymi oczyma, nie wiedząc już co mówić, spostrzegł tylko te kupki miedziaków na stole i miał chwilę, w której poczuł jakąś ciemną jeszcze chęć, schwycić te pieniądze i uciec, ale to prędko przeszło, przetarł sobie kułakiem oczy, westchnął głęboko i mówił:

– Może by się ojciec duchowny wstawili za mną do urzędników albo i dworu choćby, co bądźby płacili, niechbym tylko robotę miał, bo oni się wszyscy zmówili na mnie i nigdzie przez to nie dadzą roboty. Chcę przecież robić, chcę...

– Hardy byłeś. Kto wiatr sieje, zbiera burzę, a pokorne cielę dwie matki ssie. Pamiętaj o tym. Pomówię o tobie, bo biedny jesteś: pomógłbym ci zaraz, ale wiesz, że u mnie zawsze krótko... I miłować będziesz bliźniego swego, jako siebie samego... Nie mam nic... Wiesz, karego mi ten łajdak Antek, żeby Boga przy skonaniu nie oglądał, schwycił tak, że mi zdechł. Składałem sobie trochę, aby konisko jakie kupić, ale Wawrzon się spalił, to znowu Kłębowi krowa padła – i zmiłuj się Boże, nie mam znowu grosza... Co ja ci dam, moje dziecko... jeść ci się chce?

– Juścik, ale to nic, ino że dzieci drugi dzień już nie jedzą.

– Boże kochany... – szepnął i poszedł do wmurowanej w ścianie szafki, wyjął z niej ledwie napoczęty bochenek chleba i już miał go dać cały, ale spostrzegł oczy Tomka, pożądliwie wlepione w pieniądze, więc się w porę powstrzymał, ukrajał tylko duży kawał i dał.

Tomek dziękował mu z serdecznością i zabierał się do odejścia.

– Czekaj no, dam ci parę groszy, wiele nie mogę, bo to nie moje. – Wziął kupkę miedziaków w rękę. – To, widzisz, są pieniądze dla Ojca świętego!

– Dla Ojca świętego! – szepnął chłop z trwogą pobożną i przeżegnał się prędko.

– A tak! Dobrze, litościwe, chrześcijańskie dusze się składają, żeby Ojciec święty miał żyć z czego... Zabrali mu wszystko, co miał, i poszedł ubożuchny – on! zastępca Piotra świętego. On! mocen zawiązywać i rozwiązywać wszystko na ziemi – jest także biedny, także cierpi niedostatek, moje dziecko – odłożył prawie bezwiednie połowę miedziaków do drugiej ręki – ale wierna owczarnia nie da zginać pasterzowi swemu – odłożył jeszcze kilka – każdy niesie swój grosz wdowi z miłością synowską, bo co dasz ubogiemu, to jakbyś dawał Bogu samemu – wyjął dziesiątkę z pozostałych w garści. – Masz, moje dziecko, nie mam więcej, idź z Bogiem. Już ja tam za tobą przemówię, gdzie potrzeba. Biednyś ty, Tomku, ale zmiłowanie Pańskie i moc jest wszechpotężna. – Pocałował go w głowę i zrobił nad nim krzyż w powietrzu, szepcząc jakąś modlitwę półgłosem.

Tomek wyszedł do głębi wzruszony, ale i pokrzepiony na duchu.

– Niech ci Bóg da zdrowie, to dobry szlachcic! – szepnął i poszedł prosto z plebanii przez zaśnieżone pola, nie patrząc już dróg ani ścieżki, ku domowi.

„Laboga! i Ojciec święty biedny! Zabrały mu wszystko! O miemcy psiaścirwy, o heretyki!” – myślał i zaciskał groźnie pięści, i zadumywał się głęboko o niedoli Chrystusowego Namiestnika.

Było mu jakoś lżej na duszy, jakby odetchnął nieco po udręczeniu. Pobożne i współczujące słowa księdza napępiały czułością jego proste, poczciwe serce – przenikało go jakieś ciepło nadziei.

– Biednyś ty, Baran, sierotaś ty, Tomku! – powtarzał odruchowo słowa księdza i tak się wewnątrz rozczulał tymi przypominanymi dźwiękami słów, że mu łzy rozrzewnienia płynęły po twarzy i bezwiednie się pochylał, jakby pragnąc kogoś objąć za nogi.

Mród coraz siarczystszy oprzytomniał go zupełnie, że prawie zapomniał o księdzu i o biedzie, tylko coraz chciwiej oczyma chwycił kontury swojej chałupy, słabo szarzejacej pod lasem i serce biło mu niepokojem o dzieci. Chałupa, stawiana niegdyś dla strycharza wypalającego cegły, była teraz zupełną rudera: płaski, dranicowy dach zapadł się zupełnie i leżał na pułapie, ściany były pokrzywione, popodpierane kołami, wbitymi w ziemię i z jednej strony obsypane ziemią i sosnowymi igłami.

Pustka była dokoła, aż strachem mroziło; las ponury, świerkowy stał zaraz posępną głuchą ścianą i tak coś ciągle szumiało w nim, gadało, wyło tysiącami głosów, że ludzie, o ile mogli, omijali go z daleka. Mroźnymi nocami i w odwilżne dni marcowe wilki wylaziły z niego gromadami i szły do wiosek na żer. Pustosząca była dzika i bezлюдna, ale Tomek chałupę wynajmował od dworu, bo mu było blisko na plant, tanio płacił i latem dzieci miały gdzie krowy paść. Zżył się z tą pustką, odwykł od wsi i od gromady ludzkiej, zdziczał, ale czuł się dobrze ze swoimi tylko.

Skoro tylko nadbiegł, zajrzał przez zamarznąłą szybę do wnętrza, ale ciemno było w izbie. Wszedł cicho i zapalił kaganek. Wszystkie dzieci na jednym spały łóżku, ponakrywane szmatami, zagrzebane w słomę. W chałupie zimniej było niż na świecie: wilgoć zatęchła, przejęta zgnilizną, aż dusiła. Odrapane ściany, pokryte warstwą szronu, świeciły niby posrebrzone. W miejsce podłogi ubity z gliny tok, skostniały od mrozu, dudnił głucho pod jego nogami. Nachylił się nad łóżkiem posłuchać oddechu śpiących, bo go obleciał strach, czy nie pomarzęły.

– Śpi se bidota kochana, śpi! – szepnął radośnie. Wiórów z sieni przyniósł i w żelaznym cyganku rozniecił ogień, a potem w wiaderku urąbał nieco lodu i nakładł go do garnuszka, który zaraz przystawił do ognia. Połowę przyniesionego chleba nakrajał w miskę, osolił i czekał, aż się woda zagotuje. Kręcił się po izbie prawie bez szelestu i coraz to przystępował do łóżka i przyglądał się dzieciom... W jego niebieskich, jakby wyblakłych oczach świeciła taka chłopska miłość dzieci, dla której poza nimi nie ma już nic na świecie droższego.

– Sieroty moje, zaraz będziecie jedli, zaraz – szeptał rozradowany i dokładał coraz więcej do ognia, a gdy woda zaczęła wrzeć, przystąpił do łóżka.

– Maryś! Józwa! wstańta, dzieci! – zawołał potrząsając nimi. – Wstańta na kolację.

Rozbudziły się zaraz. Było tego pięcioro: cztery dziewczyny i chłopiec najmłodszy, może sześciolatek – tego Tomek wziął na ręce, okręcił połą kozucha i przysiadł przed ogniem – chłopak rozespany popłakiwał i grymasił.

– Cicho, synku, cicho! Naści chleboszka, to ojciec duchowny dla was dał, naści, synku.

Chłopak nos i oczy przecierał, a chleb gryzł łakomie.

– No, chodźcie, dzieciuchy, wodzianka już jest.

Nalał wrzątku na chleb.

Pościagały się z łóżka, poprzykucały dokoła miski i jeły się tej wodzianki z ogromną łapczywością.

Sine, wynędzniałe twarze dzieci miały w tonie skóry coś z barwy tych ścian odrapanych i oszroniałych, uzupełniały je niejako. Nędza długa, taka chłopska nędza, co to powoli dobiera się do gardzieli i długo dusi, napiętnowała te twarze wymownie, zostawiła im skórę na kościach, spojrzenia zaiskrzone i tępe, usta pociągane i niezmiernie ruchliwe, i apatyczne w całym wyrazie. Tomek ogarniał dzieci wzrokiem ojcowskim, sam prawie rzadko sięgał do miski, aby im jak najwięcej zostawić – podtykał tylko chłopcu.

– Jedz, synku, jedz... Bardzo się wam jeść chciało?

– Przecie – odezwała się Marysia. – W południe poszłam do wsi, stryjna Jadama dała mi kartofli – ugotowałam i zjedliśmy – a teraz od wieczoru, to Józiek i Anka płakały, że ich w dołku boli – jeść im się chciało, położyłam ich spać, i tyła.

– Jedzta, dzieci – ten chleb babka Jagustynka dała, a ten – ojciec duchowny. Maryś, jest tam dziebko jagieł, ugotujesz im jutro. Pan Bóg miłosierny nam pomoże, trafi się jaka robota, to może z korczyk kartofli się kupi albo i kaszy ze ćwiartkę, niechby tylko do wiosny przecierpieć jako tako.

– To krowe se kupimy, prawda, tatulu? – zapytał Józiek.

Ogień bystro się palił i od rozgrzanego do czerwoności piecyka rozchodziło się ciepło przyjemne, że nawet świerszcz gdzieś na przypiecku zaczął głośno strzykać, a dziewczyny posiadały u nóg ojcowskich, zbiły się w kłębek i patrzyły na niego jak w obraz. Tylko Marysia siedziała z boku na ławce i kijaszkiem raz po raz poprawiała węgielki.

– Kupicie krowe na wiosnę – prawda, tatulu?

– Prawda, synku, kupie. Będiesz se pasał albo i z Jagusią.

– Kiedy ona mnie dzisiaj zbiła, tatulu!

– Nie bój się, jak ją spierę, to zaraz cię nie będzie tłukła.

– Graniastą? kupicie, tatulu?

– Graniastą albo i siwuchę, synku.

– I da mi Marysia mleka, tatulu?

– Da ci, robaku kochany, da!

– A kiedy, tatulu?

– Na wiosne, tylko cieplej Pan Jezus na świecie zrobi.

– A bez co to zimno teraz, nie wiosna, tatulu?

– Panu Jezusowi na uciechę, a grzesznym ludziom na upamiętanie.

– To my grzeszne, tatulu? i Józwa, Maryś, Jagusia, Antka i ja, tatulu?

– Wszystkie grzeszne, synku.

– A dlaczego my grzeszne, tatulu?

– Laboga, taki marny robak, a już deliberuje.

– To wszystkie chłopcy są grzeszne, tatulu?

– I chłopcy, synku, i pany, i wszyscy.

– A kupicie owieczków, tatulu? – zapytał znowu po długim przestanku, z trudem podnosząc klejące mu się powieki.

– Kupie ci, synku, kupie. Maryś uprzedzie wełny i zrobi ci porteczki.

– I spencerek! z guzikami! jak ma Wawrzonów Franek, prawda, tatulu? i Józwie wełniak, i Ance, prawda, tatulu?

– I spencerek dla ciebie, i Józwie wełniak, i wszystkim odzienie – niech tylko Matka Przenajświętsza nas zapomoże, to wszystko będziecie mieć, robaki kochane.

Zaniósł Józka do łóżka i troskliwie go ułożył.

– Idźcie, dzieci, spać, idźcie, prędzej wam nocka zleci.

Dziewczyny zaczęły mówić głośno pacierz, a on przyniósł sobie z sieni wiązkę słomy i rozesał ją pomiędzy piecykiem a łóżkiem, zgasił lampkę, okręcił się kożuchem i legł spać.

Milczenie zaległo izbę, przerywane tylko równymi oddechami dzieci i cichym łkaniem.

– Maryś! – rzekł po długiej chwili, dosłyszawszy płacz – co ci to, córko?

– Nic, tatulu, tylko mnie tak rozebrało, że my takie biedne, choć nikomu nic złego nie zrobiliśmy.

– Cicho, córko, nie płacz. Ojciec duchowny obiecał nam pomoc i tak pięknie mówił, że musi być, co nam Pan Jezus przemieni; robotę jaką dostanę, to i ostoja przed biedą będzie. Nie bój się, Pan Bóg nie rychliwy ale sprawiedliwy.

Przyciszyło się znowu, płacz się urwał, tylko świerszcz podbudzony ciepłem strzykał głośno, a czasami węgielki w piecyku trzaskały i rozsiewały coraz słabszy w ciemności pył purpurowy – ciemność coraz większa przepęłniała izbę, i senność.

– Maryś, śpisz?

– A bo to mogę! śpiak mnie gdzieś do cna odszedł i co przywre oczy, to mi się widzi, że matula stoją przede mną, to znowu jakaś pani szlachetnie ubrana idzie i kiwa na mnie palcem albo że ten prosiak, coście go sprzedali, kwiczy za ścianą.

– Zmów se pacierz, córko; to nic, tylko z głodu taki sen przychodzi do głowy. Pójdziemy jutro do lasu, może się da się rąbać.

– Hale! Stryjna Jadamowa mówili, że już drózkami ani duchtem nie przejdzie, bo śniegi na chłopca. Kłab powiedzieli, że pisarz z lasu o dziesiątkę chce płacić więcej, aby tylko ludzie rąbali.

– Ze wsi idzie kto?

– A jak iść, kiedy śnieg taki, że wyleźć nie mogłam, jak poszłam po drwa.

Zamilkli znowu. Pociąg przechodził, aż chałupa dygotać zaczęła i w ścianach coś groźnie skrzypiało, a potem słychać było słabe echa trąbek dróżniczych.

Przycichło wszystko zupełnie, tylko przez szybki przeciskał się głuchszy szum lasu i suche poświstywanie wiatru. Tomek nie mógł zasnąć, przewracał się z boku na bok i rozmyślał coś ciężko.

– Maryś, do służby poszłabyś, córko? – zapytał cicho i trwożnie.

– Jak tatuś każą, to i pójdę – tylko że sama mieć będę lepiej, ale wam nic nie ulży.

Tomek już nie odpowiedział i wkrótce posnął.

Nazajutrz życie powlokło się tym samym szlakiem nędzy, która ich otaczała coraz twardszym kołem.

W południe zjedli resztę wczorajszego chleba i kaszę.

Tomek tylko patrzył dzieciom w oczy, głaskał je po głowach i nie mówił nic, bo mu wnętrzości szarpała rozpacz. Łaził koło chałupy jak senny; rąbał drwa, obciosywał jakieś kołki, gotował się gdzieś iść, wyglądał na przebiegające niedaleko pociągi; w godzinach, w których kiedyś wychodził na służbę, wychodził i teraz, podchodził do kolei spieszenie i jeszcze spieszniej powracał, bo sobie gorzko uprzytomniał, że nie ma gdzie iść i po co!

Tyle lat chodzenia w obroży automatycznie wykonywanej służby zostawiło w nim głęboki ślad – bezradność. Tracił po prostu przytomność, nie wiedząc, jak tu żyć dalej – bez służby i nie mając ziemi. Nigdy o niczym sam nie potrzebował myśleć, bo przez szesnaście lat myślała za niego nieboszczka żona, a przedtem ludzie, u których służył. Był z tych chłopów, którym koniecznie musi ktoś powiedzieć: idź tam, zrób to – myśl tak; to i pójdzie, i zrobi, a teraz spadł na niego ten trud myślenia razem z biedą, więc choć się ciskał, łamał w sobie, wył z bezsilności – nic nie wymyślił. Nędza szczerzyła do niego zęby i kąsała mu dzieci – a on siedział dni całe, bezmyślnie zapatrzony w siebie i nie umiał temu zaradzić. Do ludzi na wieś nie szedł prosić, bo mu to wprost na myśl nie przychodziło. Całe życie na każdy kęs musiał robić ciężko, musiał go wrywać krwią i potem, nigdy mu nic nie przyszło darmo – więc i teraz, jeśli myślał, to tylko jedno – zarobić! Zarobić nie było gdzie – padał wyczerpany.

Dopiero wczoraj zaświtała mu w karczmie myśl rąbania sągów i stara Jagustynka dała mu radę udania się o pomoc do księdza.

Po południu, jak tylko mróz nieco zwolnił, zabrał Marysię i poszli do poręby, gdzie leżały stosy pościanego jesienią drzewa, ale tak zasypane śniegiem, iż cała poręba była jedną oślepiającą białością równiną.

– Maryś, zmożewa? – szepnęła Baran drapiąc się po głowie.

– Pies, nie zima! – mruknęła ponuro dziewczyna uderzając rydlem w śnieg.

Nic już nie mówiąc zabrali się do odkopywania świerków.

Rzucili się do roboty z gorączką. Tomek robił za czterech, a Marysia z jakąś wściekłą pasją kopała niestrudzenie, nie bacząc na pot zalewający jej oczy, ani na wyczerpanie, jakie wkrótce poczuła. Przypinali się do tego śniegu, jakby do nienawistnego nieprzyjaciela, jakby



do uosobienia wszystkich ich nędz i darli go łopatami z dzikim, kamiennym uporem chłopskim.

Śnieg był zmarznięty i twardy nieledwie jak lód, że z trudem wielkim można go było ryc żelaznymi łopatami; robota szła niesporo i ten opór rozwściekał ich po prostu. Tomek zrzucił kożuch, został tylko w koszuli i nic nie widząc dokoła, z jakimś rozszaleniem kopał – gruba koszula pociemniała mu na plecach od potu, baranicę rzucił także, że włosy niby rozczochrana wiecha trzęsły mu się za każdym ruchem.

– Świniaś, psiachmać! – mruczał chwilami nienawistnie i tylko mu twarz zmęczona, groźna zawziętością, migotała nad śniegiem krwistofioletową plamą. Marysia przysiadła chwilami, aby złapać tchu i odpocząć nieco, ale zaraz zrywała się i z zawziętością nową szarpała białe łono.

A las, biały od masy śniegu na gałęziach, stał dokoła wyniosłą ścianą i jakby w śnie zimowym pogrążony, tak był cichy i spokojny. Czasami tylko gałąź jaka drgnęła pod ciężarem i kaskada białego pyłu połała się nad ziemią, wrony przeciągnęły nad lasem z krakaniem, to znowu sroki całą bandą padły na wyniosłe nasienniki, kołysały się na sękach, biły skrzydłami i jakby drwiąc z Tomka, krzyczały:

– Głupi Baran, głupi! – i tak skrzeczały, że Tomkowi wydało się to wprost wyśmiewiskiem; rzucał kawałkami śniegu i odpędzał – i znowu zapadała cisza, pełna oślepiających blasków śniegu i słońca, przerywana jedynie zgrzytem rydli, świstem wyrzucanych kawałków śniegu i chrapliwym, ciężkim dyszeniem kopiących.

Godziny płynęły wolno i las niepostrzeżenie zaczął smętnieć, oblekać się w fioletowopurpurowe tumany zachodu, potem poszarzał i cicho wsączał w siebie mrok, co się rozlewał od miedzianych zórz na niebie, pociemniał i zdawał się w końcu w jakieś głębie nocy nadchodzącej zapadać zwolna i zlewać się w jedną nieskończoną masę ze śniegiem, z przestrzenią i staczać w senność i zadumę.

Było już dobrze ciemno, gdy skończyli robotę. Oczyszczili trzy potężne świerki.

Tomek się wyprostował, przeciągnął i uderzając łopata w śnieg, rzekł szorstko:

– Zmogliśwa! a ścierwo, zmogliśwa! – Odział się starannie. – Idź, Maryś, do chałupy. Ja pójdę do Żyda, wezmę pieniędzy na robotę, bo jutro jak nic ćwiartkę postawię. Przyniosę zaraz jeść. Idź, córko, a otul się, boś się sielnie zharowała, a i mróz na noc idzie. – Pogłaskał ją pieściwie po twarzy i poszedł w głąb lasu.

Marysia okręciła głowę zapaską, zabrała łopaty i wolno poszła w las, ku domowi. Czuła się nie tyle zmęczona, co głodna i bardzo senna. Z początku szła bezmyślnie, ale potem las zaczął się jej wydawać taki groźny i ponury, tak czerniał dziwnie i jakby rozbrzmiewał jękiem w głębiach, że obleciała ją trwoga niewytłumaczona. Zdawało się jej, że niezliczone pnie drzew zabiegają jej drogę ze wszystkich stron, że pomiędzy nimi świecą w dali jakieś oczy czerwone i migocą trójkątne pyski wilków; przymykała na chwilę oczy, ale strach rósł nieustannie. Zaczęła szybciej lecieć i dla dodania sobie odwagi, na pół już przytomna, śpiewała:

*Mazury, Mazury! chłopcy kiej drabany!  
Sadzić wama kury – nie chodzić do panny!  
Hu-ha!*

A później:

*Nie boję się chłopca, choćby była kopa –  
Nie boję się wilka, choćby było kilka.  
Hu-ha!*

Ale bało się biedactwo ogromnie...

Tomek dostał na robotę od pisarza leśnego za osiem złotych żywności i rubla gotówką. Żyd dał chętnie, bo znał go z uczciwości i sążnie były im gwałtownie potrzebne do odstawy na kolej.

Na drugi dzień rano Baran kazał się ubrać Marysi odświętnie, rubla zawinał w szmatkę i poszli do kościoła, ale proboszcz nie chciał wziąć od niego za mszę i tak się rozczulił, że kazał mu dać korzec kartofli i parę garnicy kaszy.

Tomek się wypowiadał i całe nabożeństwo leżał krzyżem – i tak się modlił, tak prosił gorąco, tak się trzął w łkaniu, tak żebrał zmiłowania, tak jęczał żałośliwie w bólu, skardze i prośbie, że ludzie z szacunkiem spoglądali na rozkrzyżowanego przed ołtarzem.

– Jezus! Panno Częstochowska... zmiłuj się nad grzesznym... Do Częstochowy piechty pójde... koronkę dzień w dzień mówić będę... chorągiew kupię... świec kupię... zmiłuj się nad grzesznym... O słodka Panienko... O Królowo... ofiaruję Tobie siebie z dziećmi... Przemień nam... Za co bądź robić będę, aby tylko na zebrać nie iść, aby mi tylko dzieci z głodu nie pomarły!... O święty!... święty... święty... – jęczał i płakał krwawymi łzami skargi, prośby i błagał zmiłowania.

Organy brzmiały cichym, uroczystym hymnem, co jak purpurowa fala dźwięków rozpylał się nad jego głową i przejmował mu serce świętym dreszczem trwogi; głos księdza miał jakieś tęczne blaski i przenikał go takim ukojeniem i rzewnością, że mu łez płynęło coraz więcej i coraz cichszych. Poczerniałe złocenia ołtarzy, dźwięki dzwonów, głębokie westchnienia modlących się, szepty pacierzy, dobrotliwe spojrzenia świętych z obrazów, tęczy mrok padający przez kolorowe okna, złotawe płomyki świec, jakby balsamiczne rytmy muzyki, co wciąż płynęły z chóru – wszystko to stopione w jakąś mistyczną harmonię niewypowiedzianie słodką, rozplaszczało Tomka jeszcze bardziej u stóp Wszechmocy i przejmowało go ufnością bezgraniczną, pocieszeniem i wiarą – że już pod koniec mszy nie mógł zebrać myśli, tylko wzdychał, całował podłogę i płakał.

Wyszedł z kościoła ze zdwojoną wiarą i zapalczywością do roboty.

– Maryś! – rzekł w połowie drogi, kiedy wracali do domu i przystanął nieco, bo dziewczyna szła za nim. – Maryś, widzi mi się, że nam przemieni Pan Jezus, bo to, jak ojciec duchowny powiedzieli: o liliach i ptaszkach, i innych choćby najmniejszych robaczkach pamięta, a nie miałby Jezus kochany o człowieka stoć, co?

– Musi być, co Pan Jezus zarówno stoi o wszystkich – odpowiedziała poważnie.

Życie wydało mu się teraz jaśniejsze, bo na parę dni było co jeść w domu i mróz znacznie zwolniał, a nawet w południe zrobiła się mała odwilż. Tomek przeczuwał odmianę powietrza, bo słońce zaczynało się nie pokazywać i masy szarych, rozrzedzonych chmur zaciągały horyzont, więc niepokoił się znowu.

– Śnieg rośnie, ale nic to, Pan Jezus sobie dmuchnie i rozwieje wszystko – powiedział dzieciom, idąc do lasu rąbać drwa. Do wieczoru postawił ćwierć, choć się zmęczył śmiertelnie. Poszedł spać wesoło, bo dzieci miały co jeść i sam się znowu poczuł wciągnięty do dawnego życia – robił.

Nazajutrz, gdy się obudził i wyjrzał na świat – sposepniał.

Śnieg sypał tak gęsto, że świata nie było widać i wiatr się zrywał z poświstem. Zanosilo się na zadymkę i ani można było marzyć o rąbaniu w lesie.

I jak zaczęły śniegi sypać, wichry wyprawiać dzikie harce po polach, zawieja zaciemniać świat, tak i nawet wyjść z chałupy było ciężko.

Nie było prawie dni ani nocy, tylko jakaś posepna, szara orgia huraganu przewalała się po polach i przestrzeniach i biła ustawicznie potężnymi falami w Baranową chałupę i w las, co się tylko pokładała w tym mocowaniu się z wichurą, ale powstawał niezmożony i straszny, bo się rozsrożył walką i tak szumiał, trzął się, trzeszczał, wył dziko i przeciągle, huczał – że dzieci nocami nie spały, a ptactwo uciekało z niego w pola. Tomek pilnował chałupy, bo groziła zawaleniem, aż ją całą zarzucił śniegiem zupełnie, że wyglądała niby wzgórze śnieżne.

Żywność się wyczerpywała, nie było na świeżą ani można było iść po nią, tak drogi i pola były zawałone śniegiem. Drugiego dnia zadymki pociągi stanęły w śniegach i wszelki ruch ustał zupełnie, ludzie się trwożnie cofnęli ustępując miejsca żywiolom. Dopiero trzeciego dnia rano zawierucha ustała nieco, ale olbrzymie zasy pyły dymiły niby kraterzy obłokami rozpylanego śniegu.

Tomek ubrał się w kozuch, wziął łopatę i poszedł na plant. Dozorca, jego pomocnicy, inżynier dystansowy, masy chłopów spędzonych ze wsi okolicznych, wszystko to uwijało się około zasypanego w przekopie pociągu. Rozdawano ludziom wódkę i kiełbasę, byle prędzej oczyścić tor.

W białych tumanach śnieżnego pyłu Tomek widział całe setki ludzkich sylwetek pracujących wesoło, słyszał gwar rozmów, śmiechy, skrzyp rydli – łowił chciwie uchem te odgłosy i posepniał coraz bardziej, bo dla niego ani miejsca, ani roboty nie było. Nikt go nie wołał do niej. Stał na przejeździe parę godzin zziębnięty, głodny i zrozpaczony, aż się doczekał Starszego, pochylił mu się do nóg i bardzo pokornie prosił o robotę.

– Baran przecież wie, że był ogłoszony okólnikiem po całej drodze, iż go uwolnili za kradzież z zastrzeżeniem nieprzyjmowania do żadnych robót na kolei. Cóż ja wam, moi kochani, poradzę?...

Tomek nie odrzekł nic, tylko smutnie zwiesił głowę i powlókł się do chałupy.

– A ścierwy! ścierwy! ścierwy! – zaczął naraz krzyżeć i taka nim złość zatrzęsała, że łopatę potłukł i przyszedłszy do izby Marysię wybił, Józka kopnął i jak oszalały tłukł się po izbie, rwał sobie włosy, ale że to mu nic nie pomogło i wyczerpał się prędko, uspokoił się i znowu czekał.

Od księdza nie było żadnej wieści, dnie się wlokły strasznie wolno i strasznie głodno. Jednego wieczoru, po całodniowym poście, przyszło mu coś na myśl.

Dzieci płakały, a Józek cicho się skarżył, że go coś gniecie pod piersiami i że mu jakoś we wątpiach piszczy, był rozpalony od gorączki, przez sen się zrywał, krzychał i prosił o chleb.

– Nie płacz, synu, przyniesę wam jeść – powiedział Baran krótko. Wziął worek, siekierę i poszedł ku dworowi.

Brnął w śniegu po pas, ale doszedł do tych stodół, gdzie niedawno widział psy wyprawiające ucztę. Szukał padliny – macał w śniegu nogami, to steliskiem siekiery, ale nie znalazł nic. Miał już odchodzić z niczym, kiedy dosłyszał ciche warczenie od szczytu budynku – tam poszedł.

Kilka psów rozrywało pomiędzy sobą owcę i warczało. Rozpędził je siekierą. Psy ustąpiły niechętnie, szczękając zębami na współzawodnika, Tomek wybrał z tej owcy najmniej uszkodzone części, wsadził do worka i zarzuciwszy go na plecy, zawrócił ku domowi.

Psy rzuciły się za nim ze skowytami; skakały mu do worka, rwały go za kozuch i docierały zajadle. Odganiał je siekierą i spieszenie biegł, ale znalazł się pod śniegiem rów jakiś, w który wpadł. Psy skoczyły na niego. Wszczęła się krótka walka, z której wyszedł zwycięzcą – ale z porozrywaniem na plecach kozuchem, z przegryzioną ręką i okaleczoną twarzą.

Dwa psy wyły tarzając się z bólu i znacząc krwią śniegi, reszta uciekła, a on pozbierał się ledwie i powlókł wolno do domu ze zdobyczą.

– Macie jeść – rzekł Marysi, rzucając worek na izbę.

Mieli co jeść, ale Józek, jego dziecko najukochańsze, na drugi dzień po tym jedzeniu rozchorował się na dobre.

Leżał na łóżku czerwony, obrzękły, cały w potach i tak bezsilny, że głowy nie mógł podnieść. Tomek aż głową tłukł o ścianę, zrozpaczony śmiertelnie o jedynaka, w końcu poszedł starać się o lekarstwa.

Pachciarz dworski, który różne medykamenty sprzedawał po kryjomu, dał jakieś proszki na kredyt, jak również nieco żywności. Proszki nic nie pomogły, bo już po nich, trzeciego dnia, Józek leżał bezprzytomny i tylko coś bredził gorączkowo.

Tomek, jako po ratunek ostateczny, poleciał po starą Jagustynkę, która się znała na chorobach i czy się komu zwił kołtun, czy go coś wewnątrz bolało, czy potrzeba było odczynić urok albo przemierzyć przesunięte dzieci, wszystko to z równym szczęściem leczyła zażegnaniem, odczynianiem albo ziołami.

Przyszła z nim zaraz i aż się za głowę ujęła zobaczywszy chorego.

– Loboga! temu tylko Pan Jezus pomóc może – szepnęła.

– Sprobójcie, babko. Lekujcie tego mojego parobka kochanego.

– Przemierzyć by go potrzeba albo i okadzić, i zażegnać... bo ja wiem co!...

– Wszystko róbcie, aby mi tylko nie zmarł chudziaszek. Loboga! taki sielny parobek. Na wiosnę byłby już do pasania – a taki układny, taki obserwant, taki dobry, loboga! – jęczał ze łzami Tomek.

– Jak Pan Jezus kogo miłuje, to mu niczego nie żałuje... Ale, Tomek, ojciec duchowny mi powiedzieli, żebyś ty zaraz szedł na stację; będzie naczelnik, przyjedzie oglądać te zaspy. Idź zaraz i telko nie bądź hardy, obłapij grzecznie za nogi i proś. Ksiądz przyjedzie później i pogada, tak mi powiedział.

– A chłopaka zostawić?

– Idź, chłopaka dojrzę, co będzie trzeba koło niego zrobić – zrobię.

– Dobraście, babko, że i rodzona nie byłaby lepsza.

– Ale! a dlaczego to miałabym być zła!...

– Insze kobiety nie mają takiego pomiarkowania.

– Bo insze widzą tylko swoich chłopów, dzieciśka i kłopoty... No, idź już.

Tomek, wprawdzie z pewnym ociąganiem – poszedł na stację.

Stara przyniosła ze wsi ziół, siwy gliniany garneczek z pokrywką i zaczęła w nim coś warzyć. Józka rozebrała do naga i ułożyła go na środku izby – podesławszy mu snopek prostej słomy; leżał cicho i bez tchu, był nieprzytomny.

Potem wrzuciła do garnka trochę gromnicznego wosku i skoro się rozpuścił we wrzątku, zaczęła nim chłopca nacierać mruczając coś niezrozumiale.

Dziewczyny zbiły się pod piecyk i z trwogą spoglądały na ceremonię.

Stara pozostała od nacierania wodą odlała rodzaj trójkąta, w środku którego leżał Józiek i przystąpiwszy do pierwszego kąta izby powiedziała głośno i z namaszczeniem:

– Czarnemu kapeczkę – białemu kwatereczkę! – Odląła kroplę w kąt, a całym strumieniem chlusnęła na izbę. Powtórzyła to trzy razy. Potem wzięła glinianą pokrywkę, nałożyła na nią rozżarzonych węgielków, na to nasypała suchych bobków owczych, suchych kwiatów, zwanych „stulipysk”, pół wianka rosiczki, poświęconej w oktawę Bożego Ciała. Dmuchała dziewięć razy, aż się rozżarzyło wszystko i cienki strumień dymu popłynął w powietrze – wtedy zaczęła okadzać leżącego i szeptać jakąś formułę odczyniania.

Okadzała następnie ściany; wyszła na dwór i nie zważając na zaspy okrążyła chałupę trzy razy, nie odetchnawszy i okadzając bezustannie.

Chłopak wciąż leżał wyciągnięty i nieruchomy. Ciało miał pokryte sinawymi plamami, obrzękłe, suche i świecące.

Jagustynka, wytarłszy go raz jeszcze wodą, okręciła w płachtę i położyła na łóżku, a później zajęła się dziećmi.

Tomek tymczasem już naczelnika zastał na stacji, zobaczył go spacerującego z dozorcą po olbrzymiej i wspaniale brudnej sali klasy III. Wyciągnął się zaraz przy drzwiach niby struna i czekał, bo dalej postąpić kroku nie śmiał.

A oni chodzili tam i z powrotem, tak zajęci rozmową, że nawet nie zauważyli jego wejścia. Ile razy przychodzili bliżej, tyle razy Tomek prostował się jeszcze sztywniej i otwierał już usta, ale tak jakoś prędko zawracali, że zawsze było za późno. Wreszcie, po długiej pauzie i czekaniu na sposobność, zebrał w sobie odwagę i powiedział stłumionym i drżącym głosem:

– Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika. Nie słyszał naczelnik, bo dozorca półgłosem mówił...

– Pozwolę sobie zwrócić uwagę pana naczelnika, że i nam polityka Watykanu nie podoba się, a już te umizgi kurii rzymskiej do dzisiejszej Francji...

– Przepyszny kraj, przepyszny – szepnął naczelnik wrzucając sobie w oko monokl.

– Kraj rewolucjonistów, masonów<sup>14</sup>, ateizmu<sup>15</sup>; kraj wiecznej anarchii<sup>16</sup>.

– Tak, ale i kraj drugiego cesarstwa.

– Pan naczelnik skłania się ku temu, co się zwie bonapartyzmem?

– Przede wszystkim, skłaniam się ku paryzmowi, ku monarchii Paryża nad światem – i uśmiechał się słodko do wspomnień kosmopolitycznego lupanaru<sup>17</sup>, i skubał delikatnie szpakowatą, iście senatorską brodę.

– Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika – powiedział znowu Tomek, ale nieco głośniej, bo się niecierpliwił i niepokój o Józka przejmował go coraz większy.

– Pan naczelnik bawił długo w Paryżu?

– Piętnaście lat. Mgnienie, powiadam wam, rozkoszne mgnienie.

Zamilkł; dozorca kręcił sumiaste wąsy a naczelnik melancholijnie spoglądał na własne paznokcie i okręcał monoklem.

– Dopraszam się łaski wielmożnego naczelnika! – krzyknął prawie Tomek, bo myśli, że tam Józiek może kona, tak ostrym go przejęła strachem, że już nie wiedział, co robić.

Naczelnik, usłyszawszy go, przystanął, wrzucił z precyzją monokl w oko i rzekł:

– Ha! cóż ty bracie powiesz?

Tomek rzucił mu się do nóg i gadał prędko i bezładnie:

– Dostałem dymisję, wielmożny naczelniku, wygnali mnie. Piętnaście lat służyłem i zostałem bez służby... do roboty nie chcą mnie wziąć... pięciorgo sierot zostało przez chleba... Przyszedłem się dopraszać łaski wielmożnego naczelnika... bieda tak mnie już zmogła, że i tchu złapać nie mogę... Na plancie wszystkie roboty znam... poczciwie służyłem...

– Panie naczelniku, to ten Tomek Baran, dróżnik, wydalony ze służby za kradzież żelastwa kolejowego.

– Nie kradłem, wiel... naczel... a wygnali mnie... Nie wzionem, jak na spowiedzi świętej mówię... Wygnali mnie sierotę... i lemetrytury wzieny, strączkę z pensji wzieny... kaucje wzieny... Zostałem bez niczego, jak ten palec.

– Mógł być pociągnięty do odpowiedzialności karnej – szepnął dozorca, obojętnie patrząc w okno.

– Widzisz, a toż zasłużyłeś bracie na więzienie, ha! – powiedział poważnie naczelnik.

– Przez co ja miałem iść do kryminału! Zabiłem to? ukradłem co? – zawołał żywo Tomek i aż zadygotał cały ze złości naglej.

– Z litości się to zatarło, bo ma dużo dzieci.

– Nie wsadzono cię, bo miano litość nad twoimi dziećmi, ha! Powinieneś być wdzięczny, ha! – powtarzał wolno i uroczyście naczelnik.

– Przyszedłem się dopraszać sprawiedliwości. Pan dozorca przecież wiedzą, co mi urządzili. Pan dozorca sam...

– Denuncjacja<sup>18</sup>! Zaraz pan naczelnik pozna nasz lud kochany.

---

<sup>14</sup> M a s o n i – tak nazywano członków tajnego międzynarodowego stowarzyszenia religijno-politycznego, zwalczającego Kościół; stowarzyszenie to, zwane MASONERIĄ, powstało w XVIII wieku.

<sup>15</sup> A t e i z m – niewiara w Boga.

<sup>16</sup> A n a r c h i a – bezrząd, rozprzężenie; każdą działalność rewolucyjną mas ludowych wymierzoną przeciw uciskowi burżuazji określała jako anarchię.

<sup>17</sup> L u p a n a r – dom nierządu; k o s m o p o l i t y c z n y l u p a n a r – tu użyte przenośnie: miejsce hulaszczących rozrywek, ściągające ze wszystkich stron świata ludzi bogatych.

<sup>18</sup> D e n u n c j a c j a – donos.

– Denuncjanty my z dziada pradziada nie były, to i nie będziemy. Do oczów staje i powiem, jak było – a piętnaście lat strączki, choćby i bez procentów, nie daruję, jako nie daruję kaucji...

– Nie dostanie składek emerytalnych, bo prawo jest wyraźne.

– Prawo jest to, co sprawiedliwe, a sprawiedliwa rzecz wygnać niewinowatego?!... sprawiedliwa, nie oddać pieniędzy przez tyle lat z krwawicy odtrącanych?! sprawiedliwa?!... Do sądu choćby pójdę dochodzić prawa, bo mi się krzywda stała! – wołał Tomek unosząc się coraz bardziej.

– No, gadaj tu z chamem! Nie znasz instrukcji?

– Znam to, że instrukcje pisali dla siebie, a narodowi prawdę drogo borgują. Oszukiwać, to i parch albo drugi pies potrafi...

– Milczeć, chamie! Cóż ty, psiakrew! mordę tu będziesz rozpuszczać i pyskować? – krzyknął ze szlachecka pan dozorca.

– Ukrzywdzony jestem, to i pyskował będę.

– Złodziej jesteś, bydlaku jeden.

– Ja złodziej! – ty ciarachu powietrzny, ja złodziej! – ty frybro! ja! – krzyczał Tomek zaciśniętymi pięściami i posuwał się bezwiednie naprzód.

– Sz wajcar, za drzwi z tym chamem, a jak się nie uspokoi, do policji! Chodźmy, panie naczelniku. A bydło! czego z nim nie zrobi kijem, tego nie zrobi niczym.

Wyszli na peron.

– Już ja ci żebra, ciarachu, policzę, już ja cię przyrządzę, psie zapamiętały, aże cię frybra jangielska pokręci – szeptał Tomek i taki huragan gniewu i nienawiści zalał mu serce i mózg, że aż pot rześisty uperlił mu czoło, aż trząsał się cały w spazmie wściekłości i miał szaloną ochotę biec za dozorcą, chwycić go za gardło i bić... bić... bić... Rychło się jednak otrząsnął z tego uczucia, wyszedł ze stacji i co tylko miał sił, leciał ku domowi.

W chałupie zastał sporo ludzi i Józka już konającego.

Chłopak z gromnicą w ręku leżał na wznak, wyprężony jak drzewo i rzeżał chwytając z trudem spieczonymi ustami powietrze.

Ludzi się naszło ze wsi i klęczeli koło łóżka, odmawiając za starym Andrzejem, kościelnym, litanię. Twarze były surowe, a w oczach tkwił wyraz spokojnej, jakby kamiennej rezygnacji. Dziewczyny, siostry konającego, zawodziły głośnym płaczem i w całej izbie, pełnej żółtych, gromnicznego światła refleksów, rozpościerał się tragiczny nastrój.

– Jezu Maria! Jezu Maria! – ryczał Tomek i ogłupiałymi oczyma wpijał się w twarz jedy-naka, i targał sobie włosy z niemocy rozpaczliwej.

– Cicho, Tomek, cicho! Panu Jezusowi podoba się wziąć duszyczkę do swojej chwały, to i cóż ty, robaku marny, poradzisz na to? co? – uspokajała go półgłosem Jagustynka.

– Syneczku mój, dzieciąteczko moje kochane, srybło moje i złoto! – jęczał Tomek.

– Okadziłam, zmierzyłam – i nic... Wola Twoja Panie...

– „Od wszelkiej rozpaczy!” – szeptał drżącym głosem kościelny.

– „Wybaw nas Duchu Święty Boże” – odpowiadały prędko kobiety i ten szept głosów gorących, westchnień, płaczów, zdenerwowania rozlewał się po izbie niby żółty strumień i powracał do konającego, który w glorii gromnicznego światła leżał, wyprężał się coraz sztywniej, usta otwierał szerzej i lewą ręką szarpał sukmanę, okrywającą mu piersi.

– O mój syneczku złoty! O moje dzieciątko kochane – ryczał Tomek. – Odchodzisz nas, robaku kochany, odchodzisz! Na ojcowe płkanie nic nie baczysz, żałośliwości naszej się nie litujesz, sieroty biedne nas zostawiasz!... i idziesz se, dziecino najmilsza, do Jezusiczka... o!... o!... o!...

– O bracie serdeczny, nie sieroc ty nas; parobku najmilszy, nie odchódź ty nas – jęczała Marysia podtrzymując mu gromnicę.

– „Od potępienia wiekuistego – brzmiały znowu silniej głosy – wybaw nas Duchu Święty Boże...”

– Nie pognasz ty już krówków, parobku kochany. Nie wyciarachasz ty już za łeb siostrów, jedynaku, nie polecisz ty już na wieś. Nie będziesz sobie na wiosnę wypatrywał ptaszków, nie będziesz... nie będziesz...

– Tomek, nie płacz, Tomek, bo...

*Od nagłej i niespodziewanej śmierci  
Wybaw nas Duchu Święty Boże.*

– Aż rana to już wyrzekał: Tatulu, powiada, ja nie zamrę. Tatulu, nie dacie mnie Kostusi, tatulu, ja od was nie pójdę!... – i tak się skamlał jak pies, co widzi zatracenie i śmierć. O, biedne my sieroty, biedne! Czym ci, synu, ulżyć, czym!... A jego, biedaka, we wnętrzu cosik gnietło, bo się tylko za ten kochany kałdunek trzymał i postękiwał z boleścią... Paciorek z Marysią mówił, to mu po policzkach te łzy kochane ciurkiem się lały i tak się trząsał w sobie kiej osika!

Józiek przestał naraz rzezić, otworzył usta w długim chrapliwym oddechu, drgnął cały gwałtownie, uniósł nieco głowę i powłócząc błędnie oczyma po obecnych, opadł na poduszkę i wyciągnięty, wpatrzony szklanymi oczyma w pułap, z jakimś krzykiem okropnym na oniemiałych ustach – skonał.

Gromnica wypadła mu z rąk, palce się rozprężyły, twarz wypogodziła i tak pozostał obojętny na wszelkie dobro i wszelką nędzę.

Podniósł się krzyk i płacz wstrząsający.

– Cichocie, ludzie – zawołała Jagustynka otwierając drzwi na rozcież – aby choć bez pacierz cichocie. Niech se duszyczka w cichości odleci, niech ją żałośliwość wasza nie odciąga od Jezusiczka.

Przyciszyło się istotnie, a wkrótce prócz starej rozeszli się wszyscy do domów.

Do samego pogrzebu Tomek tak się czuł zgnębiony biedą i rozpaczą po stracie jedynaka, że całe dni przesiadywał pod piecem nieruchomy i apatyczny na wszystko; zawijał się tylko jakby we własną boleść i czuł, że jakaś żelazna ręka wzięła mu duszę i tak ją straszliwie gniecie, iż się poruszyć ani krzyknąć z nadmiaru bólu nie potrafił.

Za pogrzebem poszedł i tyle miał przytomności, że trumnę na wozie podtrzymywał, ale patrzył bezmyślnie na ludzi, na świat, nie słyszał prawie śpiewów ani słów pociechy, jakich mu ludzie i ksiądz nie żalowali.

– To śmierć tak się we mnie rozpiera – pomyślał

wyczuwając jakąś dziwną ciszę w sobie i spokój, ogarniający mu duszę.

– Widzi mi się, że zamrę! – szeptał powracając sam z cmentarza, bo ludzi zatrzymał ksiądz i mówił coś do nich gorąco, ale Tomek nie uważał, choć słyszał wymawiane swoje imię. Szedł samotnie i patrzył na pola olbrzymie, zasłane puchami śniegów, poznaczone gdzieniegdzie gruszami, to na jasne niebo, to w złotą tarczę słońca i zdawało mu się, że to wszystko kołysze się zwolna niby dzwon i że to słońce bije w te czarne ściany lasów niby we wręby spizowe, i że jakieś słodkie dźwięki, podobne do chrzęstu zbóż dojrzewających, do szumu lasów w upały, do świegotania ptasząt w strzechach – ogarniają go, przepelniają mu mózg i duszę słodczą wielką i kołyszą, i kołyszą coraz sennie, sennie...

„Widzi mi się, że zamrę” – myślał nie mogąc sobie zdać sprawy z tego, co się w nim działo.

Przyszedł do chałupy, usiadł na dawnym miejscu i nic nie widział, co się wkoło niego robi. Walczył z życiem, jak mógł i umiał, ten ostatni cios wyczerpał go już zupełnie: już wiedział, że nie poradzi sam, że musi zginąć, więc mu się już wszystko stało obojętne, z rezygnacją

kamienną pochylił głowę i poddał się losowi. Nie myślał ani o sobie, ani o dzieciach pozostałych, ani o niczym – czekał jakiegoś końca.

Słyszał, że kilkanaście osób weszło do izby, że chodzą koło niego, że coś mówią – ale nic nie rozumiał. Położył się na ławie plecami do izby, kozuch naciągnął na głowę i tak leżał martwo.

– Kumie! – zaczął przybyły z drugimi Czerwiński widząc, że Tomek jakby nie wiedział o ich przybyciu. – Kumie! że wam dolega, to jest prosta rzecz.

Tomek odwrócił się nieco i tępym, zagasłym głosem powiedział:

– Pewnikiem zamrę, to śmierć się tak we mnie rozpiera.

– Kumie, grzeszne myśli macie. Słuchajcie ino, co wam Czerwiński powie. Przyszliśmy tutaj z dobrej woli, aby was pocieszyć i zapomóc, jak kto może. Biednyś ty, Tomek, i pocziwy, ale hardy jesteś. Do panów poszedłeś prosić o wspomozienie, a my bliższe przecie. Juści że się nikt pierwszy wam nie wydzierał z pomocą, bo każdy ma swoją biedę, co go żre, babę, co mu nade łbem klekoce, i swoje kłopoty – ale nie ma mięsa przez kości, a człowieka przez litości... Miarkuj se tylko, że ci tak Czerwiński rzekł... Czekaliśmy, aż przyjdiesz i powiesz, jak do bratów: Dajcie, wspomóźcie! Biedę mam, dajcie czy na odrobek, czy na bórg, czy za Bóg zapłać; dalibyśmy, bo wiemy, żeś ukrzywdzony i biedny. Swojaki jesteśmy i krześcijany, a tylko małpa małpie łysty szarpie, a człowiek za człowiekiem powinien trzymać. Zmówiliśmy się, i co kto mógł, przyniósł. Weź, Tomek, i niech wam będzie na zdrowie.

– *In secula seculorum ament* – zakończył pobożnie kościelny.

Kobiety zaczęły węzełki rozwiązywać, zapaski rozkładać, koszyczki otwierać – i kładły obok Tomka, co która przyniosła: to chleba bochen, to kartofli, to kaszy, to mąki parę kwart, to soli zielonej grudę, to bedłek wianuszek, to słoniny pasek, to serek suszony, a Jagustynka położyła na ostatku związaną kokoszkę.

– Nieśna, Tomek, jajka będą, to i kurczątką będą na wiosnę – rzekła.

A Tomek uniósł się na ławie, patrzył po wszystkich, słuchał, dziwował się i powoli zaczęło mu coś w sercu drgać, i jakaś słodka gorącość przenikała go całego, i w gardle zaczęło go dusić coraz bardziej, że już nie mógł wytrzymać, tylko ryknął ogromnym płaczem.

– Braty kochane, ludzie krześcijańskie, czym ja wam odpłacę! – szeptał przez łzy, ale mu nie dali więcej mówić, tylko go sobie brali w ramiona i całowali, a on oddawał uściski, starszym chylił się do nóg, dziękował i trzęsło się w nim wszystko z rozrzewnienia.

– Dobrocią odpłacisz albo i pacierzem – rzekł poważnie Czerwiński.

– *Dominus vobiscum ament* – dorzucił kościelny.

– Jeszcześmy za poradą dobrodzieja postanowili, co aby ci lżej było prezimować, to do wiosny Józwę wezmę ja, Marysię – Kłab, Jagusię – Gulbas, a Ankę – Boryna, dziewuchom się u nas krzywda żadna nie stanie, a ty sam prędzej się zapomożesz. Jagustynka powiedzieli, że się do ciebie sprowadzą, jako żebyś warzę miał i dogład kobiecy.

– Zostanę u ciebie, Tomek, sierotom też jestem, nie objem cię, sama coś niecoś zarobię, a zawždy mi pod chłopską opieką będzie lepiej.

– Laboga! ludzie, ady od tej waszej dobrości, to mam w sercu jako wiosnę.

– Zfamuliłeś się ty z biedą, że cię potrzeba od niej przez moc odrywać.

– Z czyjego woza, to zsiadaj choćby i na pół morza.

– *Ora pro nobis Domine ament* – zakończył kościelny, wyjął z kieszeni flaszkę z wódką, chrząknął, nalał w kieliszek i zaczął:

– Gospodarze, jako na ten przykład mówi Pismo święte: *Ave marysteli deo gratias ament...* – i wypił do dna. – Jako jest dobrze kusztyczek gorzałki wypić, coby odegnać te złośliwe humory z wątroby, tak wy, Tomku Baranie, pijcie, a potem zmówmy paciorek na intencję świętej pamięci Józefa – i *mea culpa, mea maxima culpa ament*.

Posiadali, gdzie kto mógł, popijali nieco gorzałki z tej żałościwości, przegryzali chlebem, pośpiewywali nabożne pieśni za zmarłego i rozeszli się.



Zaraz na drugi dzień poprzychodziły kobiety po dziewczyny.

Ciężko było Tomkowi rozstawać się z nimi, bo płakały, padały mu do nóg, prosiły, żeby ich nie dawał do ludzi, ale Baran się zaciął, więc tylko szorstko krzyknął:

– Idźta, bo was spiere jak nieboskie stworzenia! – I jak tylko powychodziły, na cały dzień poszedł się włóczyć po lesie.

Zima zaczęła łagodnieć, przyszły wielkie odwilże i zginęło tyle śniegu, że w lesie rozlegał się ustawiczny huk siekier rąbiących sagi.

Tomek codziennie chodził do roboty.

Przykrzyło mu się za dziewczynami, szczególnie wieczorami, kiedy przyszedł z roboty i choć kolacja zawsze była gotowa, ale mu było brak dzieciennych głów naokoło miski i szczerbota Józka.

Czasem dziewczyna która przyleciała ze wsi, posiedziała chwilę czasu, naopowiadała o swoich dobrodziejach, o jadle, o szmatach – i rwała się z powrotem, bo jej już tęskno było za wsią i za ludźmi, a ta odrapana, nędzna chałupa razila po trochu. Rozumiał to dobrze Tomek, bo raz, po odejściu Marysi, rzekł do Jagustynki, która, co tylko jej zostało czasu od mizernych zajęć gospodarskich, to wciąż przędła len, gremplowała wełnę albo motała przędzę w parniki.

– Nieboszczyk mój kochany nie odszedłby tak ode mnie, nie. Dobre są dziewczyny, jako i te moje, ale zawsze – tylko dziewczyny – i machnął ręką.

– Prawda, kobieta sama jestem, ale powiem, że co chłopak, to chłopak. Na rozpustę, juścić on jest prędszy, ale i do roboty prędszy. Żeby był taki jak Marysia, to na kolei by nie zarobił, co?

– Juści, żeby zarobił, bo choć mnie dać roboty nie chcą, ale jemu by dali.

I zaraz z tego zaczął sobie przypominać niedolę swoją i krzywdy, a w końcu zapytał starej:

– Dlaczego to, babko, jest, że choć my z panami jedni i mową, i wiarą, a wrą na nas kieby psy, poczciwego słowa nie dadzą, jak mogą ukrzywdzić, to ukrzywdzą – i wszystko one mają albo Żydy?

– Dlaczego? Diabelskie urządzenie to jest, nic więcej. A przez co diabeł trzyma duszyczki w smole, gdyby konopie we wodzie? – zapytała puszczając na tok wrzeciono.

– Widzi mi się, że przez to, bo dusze grzeszne są.

– A naród głupi, to nie grzeszny?

– A to czemu głupi?

– Ale! aby każdy wiedział jak? co? laczego? Nie trzymałby nikt za łeb kiej piskorza, nie gniótlby po piersiach jak wieprzka przy zabijaniu – nie.

– Żle jest.

– Musi tak być, kiedy jest.

– Pewnie. Nie chłopska głowa zrobi lepiej.

– Nie robi i insza, choćby była taka uczona jak ksiądz albo drugi Ojciec święty.

– Tylko?

– Tylko samo się robi, jak czas po temu najdzie. Miarkuj sobie tylko, czemu to w kopania nie sieją owsa?

– Ano, nie pora przecież siać owies na zimę.

– Czemu na Gromniczne z pługiem albo broną nie wyjdiesz w pole? Czemu owieczków nie strzygą w zapusty? – Bo na to nie pora, bo na wszystko Pan Jezus swoją porę, swój czas wyznaczył. Miarkuj sobie tylko, jakie to wszystko boskie urządzenie jest.

– Prawda, babko, miarkuję sobie, ale mi ckno, że choćby człowiek naprzód chciał dostać jakiej dobroci, to nie można.

– Ale! chcieć, każdy zawsze powinien, jak i pilnować swojego czasu. Czas przyjdzie na wiosnę sadzić ziemniaki, siać owies – to nie chciej sadzić, nie chciej siać – będziesz miał co jeść w kopania, będziesz miał co zbierać, jak pora przyjdzie zbierania?

– Prawda, babko, prawda, ale wy też pomyślenie mądre macie – laboga.

– Każdy powinien mieć pomyślenie za siebie i za drugich, bo przecież za ludzi nie świnie będą myśleć.

– Prawda, babko, prawda!

Tak sobie rozmawiali w długie wieczory marcowe Tomek Baran ze starą Jagustynką.

## PEWNEGO DNIA...

### I

Prewnego dnia... o świcie – o majowym, wczesnym świcie, w małym domku, przywartym do ziemi pokrzywionymi ścianami, otwarło się okienko i w obramieniu fuksji rozkwitłych zamajaczyła siwa głowa i zaszemrał cichy, monotony głos.

Pan Pliszka odmawiał pacierze poranne.

Miasto spało jeszcze.

Senne i ciężkie mroki przygniatały świat ciszą, tą dziwną, roz tęsknioną, łzawą ciszą świtania...

Domy, fabryki, ogrody – kłębowiskami ciał bezwładnych i nieprzytomnych majaczyły w mrokach; tylko gdzieś na dachach, w oślepiłych oknach, na czubach drzew – ślizgały się brzaski zórz, jakby uśmiechy śniących, jakby spojrzenia zamglone marzeniem, jakby rumieniec trwogi przed dniem, który się już czołgał w przestrzeniach, już się chwiał na krawędziach nocy i zielonymi oczami troski obejmował ziemię...

Cicho było.

Modlitwy pana Pliszki szemrały jak młode liście brzoź, a z domów zgubionych w ciemnościach, z rynien niewidzialnych opadały ciężkie krople rosy i biły w dach domku; były monotonicznie, bezustannie... usypiająco... Pan Pliszka kończył pacierze i mocno bił się w piersi.

– Kruczek!

Pies cicho przybiegł z głębi ciemnej izby i wskoczył na parapet okna.

– Klęknij, durniu! Służ! Patrz tam! Tam jest, durniu, Pan twojego pana, rozumiesz?

Kruczek zawarczał, usiadł na ogonie, oparł się grzbietem o fuksje i bezmyślnie patrzył w ciemność.

– Nie oszukuj Pana Boga! Mądrala, będzie się podpierał!

Ale Kruczek już nie słuchał pana Pliszki, zeskoczył na podwórze i szczekał pod bramą.

– Ciemnym i głupim zwierzęciem tylko zostaniesz! – mruknął z goryczą, wynosząc zegarek do okna. Zdumiał się, bo była dopiero czwarta; nigdy się tak wcześnie nie budził.

– Chory jestem czy co?... Półtorej godziny do fabryki!

Położył się cicho na łóżko, aby nikogo nie budzić, i leżał dosyć długo; z drugiej izby rozlegało się donośne chrapanie kilku śpiących, a od trzeciej, maleńkiej, dochodził częsty kaszel...

„Buty ma dziurawe i kaszle!” – pomyślał i wstał, bo świt już zaglądał w okno i rozbielał wnętrze izdebki.

A w przestrzeniach wrzał cichy, a śmiertelny bój z dniem zwycięskim. Pan Pliszka siedział w oknie i machinalnie przesuwiał ziarna różańca, machinalnie powtarzał pacierz i nasłuchiwał...

Jaskółki zaczęły słodko szczebiotać nad oknem, jakby modlitwę do zórz coraz jaśniejszych i do dnia...

Ziemia jakby się przeżyła ze snu, a sadzawki fabryczne niby oczy pokryte pasami mglistych bielm otwierały powieki zmroków i patrzyły sennie poprzez rzęsy topoli pochyłonych nad nimi.

Czerwone mury fabryk ociekały rosą i drgały w brzaskach jakby dreszczem przebudzania. Długie szyje kominów fabrycznych, niby żurawie czuwające nad stadem dachów, wyciągały w blaskach świtania dzioby czerwone i piły światło...

A długie, błotniste drogi, ścieżki, rowy, szyny kolejowe, strugi wody, ulice czarne jeszcze – pod mgłami oddechów prostowały zmęczone, przepracowane ciała, przeciągały się sennie i zapadały w ciężkie, odrętwiające marzenie o długim odpocznieniu, o śnie długim.... długim....

I Pan Pliszka marzył; przesuwiał różaniec, szeptał modlitwy, błędził oczami po konturach domów – ale nic nie widział, zatopiony w sobie, w jakiejś ciężkiej mgłę myśli – w tumanie uczuć rozpięchłych, w chaosie dziwnych drgnień duszy, dziwnych błysków, przeczuć, słów, obrazów a niepokoju... Kłębiło się w nim i rozrastało coś, czego zupełnie nie rozumiał. Czuł tylko, że przenika go głucha tęsknota – ale za czym?... Nie wiedział, jak nie wiedział nawet nazwy tego uczucia, które mu serce rozprężyło...

Drzewa w pewne dni marcowe, w straszne dni słoty i zimna, i wichrów, tak samo tęsknią – ale drzewa tęsknią do wiosny i słońca, a ludzie? Ludzie, jak drzewa wiecznie konające za tym, co było... tęsknią i płaczą...

Pan Pliszka ocknął się, bo w mgłę szarości zapełniającej podwórze rozległ się ostry, długi, monotony skrzyp.

„Antoni!” – pomyślał.

Tak, to był Antoni, stary robotnik, któremu kiedyś wybuch kotła wyparzył oczy, a który teraz pompował wodę na piętra, ciągnął ją kołem ogromnym. Widać go było w brzasku świtania, jakby poza szybą zmatowaną, pochylał się automatycznie, równo, jednakowo, niby wierne ludzkie wahadło...

A koło skrzypiało przeciągle, jęcząco, krzykiem spracowanego żelaza... A Kruczek namiętnie szczebał na starego kundla, który przyprowadzał ślepeca do roboty.

Pan Pliszka nie mógł się dzisiaj doczekać gwizdawki.

Poszedł do kuchenki i po cichu rozpałał ogień na kominku.

– Czy to już czas? – zapytał głos z kąta przysłoniętego parawanem.

– Jeszcze, cichocie, pani, bo się chłopiec obudzi...

Poszedł do drugiego kąta, gdzie stał drugi parawan; tam spał chłopiec, na stoliku było pełno porzucanych książek i kajetów, tornister leżał na ziemi, a mundur pod stołem...

Pan Pliszka posprzątał wszystko i poskładał, popatrzył na czerwoną, śpiącą twarz chłopca, uśmiechnął się dziwnie i zabrawszy jego buty poszedł je czyścić. Na dworze przed domem je czyścił, żeby nie zbudzić nikogo. Buty były mizerne, smutne buty sztubaka, pełne ran, szwów i łąt – liryczne buty nędzy, bez podeszew, wierzchów, obcasów, a z dumnie sterczącymi jedynie całymi uszami. Pan Pliszka je reparaował i czyścił z miłością prawdziwą, z tym swoim dziwnym, pełnym słodczy uśmiechem starego psa.

Dzień już szedł wielkimi krokami, bo już okna na czwartych piętrach były różowe, na trzecich białe, na drugich szare, jakby z mgły lodowatej, a na pierwszych połyskiwały twardym, zimnym blaskiem polerowanego bazaltu.

„Trzeba mu kupić buty” – pomyślał i drgnął gwałtownie, bo ochryply, przeraźliwy głos gwizdawki fabrycznej rozdarł ciszę.

W izbie powstał gwałtowny ruch wstawania; cztery postaci zamajaczyły na tapczanach i pośpiesznie szykowały się do roboty.

„Coś mi jest!” – pomyślał pan Pliszka i przyśpieszył kroku, bo już z kotłowni buchały czerwone płomienie ognisk, a szyby błyskały w dolnych salach fabryki.

Stanął na codziennym posterunku przy windzie, pochwycił drucianą linkę i czekał na sygnały...

Salę były jeszcze ciche, zmroczone, zalane na dole elektrycznym światłem, a w wyższych piętrach przesycone mdłymi brzaskami dnia, w których majaczyły potężne korpusy maszyn – niby stado bydła potwornych, leżących bezwładnie, a przyczajonych jakby do skoku. Pasy i transmisje zwieszały się ciężko niby żyły wyprute, niby ramiona sennie opuszczone.

Robotnicy wpadali pośpiesznie, witali się skinieniem, oglądali tępo po salach i przywierali do maszyn cicho i pokornie, z jakąś uległością bojaźliwą. Niedokończone w drodze pacierze brzmiały gdzieniegdzie wpośród żelaznych szkieletów maszyn; gdzieniegdzie rozmowa, czasem trwożny głos zabrzmiał głośniejszy, ale przycichał natychmiast, tylko zmęczone spojrzenia biegały ku oknom, poza którymi stały zielone drzewa, ku polom, jakie widać było pokryte młodą runią zbóż, ku lasom dalekim, dalekim... ku słońcu, ciepłu, powietrzu, swobodzie...

Naraz ryknął sygnał roboty!

Ludzie się wyprostowali automatycznie, maszyny drgnęły, strumień strasznej siły rozlał się wskroś fabryki... Pasy się skurczyły i naprężyły... dreszcz wstrząsnął zębatami kołami maszyn... zadygotały żelazne bestie, zatrzęsły się ściany, pochylili się ludzie. Ruch pierwszy... jakby pod uderzeniem huraganu... mgnienie wahania... cichy jęk oporu... stłumiony oddech maszyn i ludzi... przyduszony straszonym rżeniem wysiłku.. Zmagania się sił... głuchy, śmiertelny bój... a potem nagły, ogromny, wstrząsający murami krzyk maszyn zwyciężonych i puszczonego w ruch.

– Winda! czwarte – huczał głos ponurym echem w głębokiej, ciemnej studni czteropiętrowej, w której pracował pan Pliszka ze swoją windą.

Pociągnął za sznur i płynął cicho w górę, bez szelestu, jak potworny pajak po sieci rozpiętej.

– Winda, farbiarnia!

Zapałał znowu na dół, w ciemności; tylko przez czworokątne otwory w ścianach migwały mu przed oczyma jak w kalejdoskopie<sup>19</sup> piętra, sale, ludzie, maszyny, towary, okna. Miął suszarnię, jasną, różowioną blaskami poranku strefę, która owiała go rozpalonym, straszliwie suchym powietrzem i głuchym, niepokojącym szumem maszyn, pokrytych w metalowe pudła; spadł przez aperturę<sup>20</sup>, przez warstwy zapachów sody, mydła szarego, rozgrzanych smarów, chlorku, wilgotnych a gorących wyziewów prasowanych materiałów i przez szary, rozlżawiony odbłask dnia trzeciego piętra; przedzierał się przez postrzygalnię, przez dziwny, białawy świat pyłów bawełnianych, w którym połyskiwały zimno długie, poskręcane ostrza maszyn strzyżących, a ludzie majaczyli jakby w tumanie śnieżnym – niby gorączkowa wizja rozszalałej w męce pracy fabryki. A potem, niżej jeszcze – przez pralnię, przez gąszcz stłoczonych, rozkrzyczanych warsztatów, przez sieć pasów i transmisyj, co tysiącami ramion, niby głowonogi potworne, dusiły wszystko, obejmowały sobą, goniły, chwytaly, spadały spod sufitów, rzucały się przez piętra, przez mury, przez dziedzińce i zdyszane a niezmożone rzucały się na wały, na koła, ześlizgiwały się, podnosiły, okręcały wszędzie i przeniknięte mocą straszną, rozszalałe, dzikie w swej potędze – przepełniały fabrykę przyciszonym, a strasznym krzykiem triumfu!

---

<sup>19</sup> K a l e j d o s k o p – „latarnia czarnoksiężska”, w której znajdują się bezładnie leżące różnokolorowe szkiełka. Patrząc w kalejdoskop widzimy barwną figurę, która zmienia się za każdym potrząśnięciem przyrządu; stąd określenie to oznacza szybko zmieniający się obraz.

<sup>20</sup> A p r e t u r a – barwienie, suszenie i wykańczanie tkanin w fabryce; tu: hala fabryczna, gdzie dokonują się te czynności.

A potem, niżej jeszcze – na samo dno fabryki; tam, gdzie już nie było świtanie ani dnia, ani nocy – do farbiarni, gdzie światła gazowe w tumanach par kolorowych rozkręcały tęczo- we, przegniłe blaski; w monotonny plusk płuczkarni, w chlupot roztrzepywanej bezustannie wody, w gryzące zapachy farb gotowanych, w jęk przeciągły maszyn, w chaos krzyków, ruchów i barw zmalowanych, w nadludzki spazm wysiłków maszyn i ludzi.

– Winda! – grzmiał krzyk z góry, a pan Pliszka pociągał za sznur i jechał; przejechał znowu te cztery piętra–strefy, zabierał ludzi i towary, wózki, przystawał na mgnienie przed otworami sal, zapadał w noce, w mroki, w świtanie, wynurzał się w brzaskach dnia na wyższych piętrach, widział słońce w suszarni i czarną linię lasów dalekich, widział młode liście topoli niżej, widział przymglone sadzawki jeszcze niżej, a potem zgarniała go noc i majaki maszyn kołysały się w cieniach i mrokach sal dolnych, a on jechał jednako cicho, powolnie, automatycznie...

Pan Pliszka jeździł już tak lat dwadzieścia.

Nie chorował nigdy, nie brał urlopu nigdy.

Był najstarszą maszyną fabryki, tylko maszyną, bo już zwolna zapominał o sobie, o własnym życiu, a chwilami już nie wiedział, czym był kiedyś i gdzie? Nie myślał już i nie marzył, nie mógł nawet, bo ilekroć siedział wieczorem w swojej izbie, to zapadał w dziwny stan kontemplacji<sup>21</sup> maszyn – czuł wtedy w sobie cały ruch fabryki, przesuwający się przez jego dużą nieskończone zwoje pasów, migotały zmalowane barwy materiałów, drgały ruchy maszyn, podnosiły się w nim koła pełne błysków stali, okrywał go dziwny, przyduszony tuman krzyków fabryki, migotały w nim jak cienie nikłe, jak cienie zapamiętane, sylwetki ludzi – a wszystko przyciszone, a tak wyraźne, tak żywe, tak jasne, że nieraz bał się poruszyć, aby nie być stratowany przez potwory, które w nim się przelewały, które w nim żyły. I zwolna, zwolna żył tylko życiem fabryki, rozumiał i odczuwał tylko życie maszyn, i o nich tylko myślał, a myślał z trwogą i czułością niezmierną.

Cóż go obchodzić mogli ludzie, którzy jak fala przepływali tylko przez fabrykę, coż go mogli obchodzić ci ludzie, którzy jak psy warowali na usługach maszyn, którzy jak nikłe cienie tulili się trwożnie do kolosów; służyli im, zależeli od nich, żyli z łaski tych potężnych, tych nieśmiertelnych i tych strasznych w swojej mądrości i potędze...

Uśmiechał się pogardliwie, patrząc na ich pocięte ciała, na ich trupie, wycieńczone twarze, na ich spracowane ręce... czymże byli wobec tych potężnych, których stalowe, połyskliwe ciała widział ciągle, czymże byli wobec sił tamtych? Marnością, pyłkiem, niczym...

Przez dwadzieścia lat pan Pliszka widział już dziesiątki tysięcy tych ludzkich nędznych istnień, wyżętych przez maszyny, niby łachmany, i wyrzuconych na śmietnik: a maszyny były, a fabryka trwała.

Pogardzał też ludźmi, a wielbił maszyny.

I żył coraz głębiej życiem fabryki.

Tygodnie poznawał po niedzielach, bo odwiedzał wtedy swojego kapitana. No i wiedział, że jeśli w suszarni na czwartym piętrze rano świeci słońce, to już na pewno wiosna, a jak w apreturze – to lato jest z pewnością. Zimą poznawał po śniegu, no i po tym, że w postrzygalni palono światło do południa.

I zresztą nic go nie obchodziło; był nawet dobry i uczciwy, ale tą dobrocią bierną automatu, bez udziału woli i świadomości,

Takim był pan Pliszka do dzisiaj, ale dzisiaj zaczęło się w nim dziać coś niezrozumiałego.

Obudził się tak wcześnie! A przed samym śniadaniem umyślnie podciągnął się na czwarte piętro i wsparty o kratę oddzielającą jego studnię od sali, patrzył w okno, w niebo, po którym płynęły chmury zrózowione, dziwnie podobne do rozszarpanych, czystych bel bawełny... A

---

<sup>21</sup> K o n t e m p l a c j a – przypatrywanie się czemuś, pogrążenie się w głębokim rozmyślaniu.

gdy rozległ się sygnał śniadaniowy, opuścił się na dół i wyszedł przed fabrykę na słońce, i bezwiednie przysunął się do robotników.

Antoś już czekał na niego z blaszanką kawy gorącej.

Pił ją bez smaku, nie chciało mu się dzisiaj jeść, a chleb rozkruszył i rzucił bandzie wróbli, która się zwykle zlatywała do śniadających...

– Antoś idzie do klasy? – zapytał nieśmiało chłopca.

– Zaraz, odniosę tylko blaszankę i pójdę.

– To musi być ciężko Antosiowi, tak się ciągle uczyć, co?

– Ciężko! nie, nie! – odparł cicho chłopiec, zapatrzony w płat słońca lśniącego w zbiorniku wody.

– Ale! Ale! – powiedział wątpiaco pan Pliszka.

Milczeli. Antoś patrzył na sadzawkę, bo słońce wlekło złote włosy po wodzie, poprzez cienie drzew stojących dookoła, a pan Pliszka patrzył na jego żółtą, mizerną twarz i oczy zaczerwienione i na jego mizerne buty, a potem westchnął ciężko i słuchał cichych rozmów robotników siedzących na cembrowinach sadzawek, grzejących się w słońcu.

– Wie pan Pliszka. Pojedziemy z mamą w Zielone Świątki na wieś.

– Na wieś! po co? – zdziwił się ogromnie.

– Po co? Odpocząć, na świeże powietrze... no...

– Cóż tam dobrego na wsi? Lepiej by Antoś siedział w domu i uczył się... butów ano szkoda. Antoś spojrział na niego gniewnie, zabrał blaszankę i poszedł.

Pan Pliszka zapalił fajeczkę i ciągnął zwolna dymek.

– Aha! Kupię mu buty, jak przyjedzie ze wsi... podarłby przez dwa dni... Cóż oni będą robić na wsi?...Głupi...

Wytrząsnął spiesznie fajkę, bo gwizdawka już wołała do roboty.

Nie myślał długo o tej wsi, bo znowu huczało pod nim i nad nim.

– Winda! Suszarnia!

– Winda! Apretura!

– Winda! Farbiarnia!

Jeździł znowu, woził, przystawał, zabierał, wyrzucał, ale jakoś tego nie spostrzegął, bo utkwiało mu w mózgu pytanie.

– Po co oni pojedą na wieś?

Szczerze i zupełnie tego nie rozumiał i dlatego pewnie się tak męczył.

Naraz drgnął i zwrócił uwagę na rozmowę, jaką pośpiesznie prowadzili jego współlokatorzy; wiózł ich z dołu na czwarte, z wózkami pełnymi mokrego towaru.

– Jedziesz, Adam!

– Pojadę. Nie widziałem już ojców od kopania.

– To w sobotę na noc, co?

– A tak, dwa dni świąt.

– Już krzyża ani rąk nie czuję od tej piekielnej roboty.

– A mnie tak jakoś w piersiach boli.

– To Zielone Świątki, co?

– Juści, nie wiesz to?

– A w tej fabryce, to się już człowiekowi we łbie przewraca.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał prędko pan Pliszka.

– Do domu na święta.

– Daleko?

– I, nie... Koleją do Łukowa, a tam będzie z milką piechotą.

– Łuków... Łuków... tam, gdzie jest Szlachecka Wola!

– To w naszej parafii, o miedzę od naszej wsi...

– To wy z której wsi?

– A z Mszawy Górnej.

„A... z szosy zaraz na lewo... tak...” – przypominał sobie pan Pliszka.

Wysiedli zaraz, przez dzień jeździli jeszcze po kilka razy windą, ale pan Pliszka już ich nie pytał, przypatrywał się uważnie i milczał.

„Szlachecka Wola! Moja wieś! moja!...” – Połknął to nagle przypomnienie i żuł jak wędzidło, żuł i nie mógł strawić.

Uśmiechnął się pogardliwie na to przypomnienie wsi rodzinnej, cóż ona go obchodziła.

„Na wieś im potrzeba, chamy!” – pomyślał naraz gniewnie.

Pan Pliszka był szlachcicem, takim ze Szlacheckiej Woli, na trzech zagonach i jednym krowim ogonie, ale nim był, poczuł to mocno w tej chwili, a potem wolno liczył:

– Zaraz, to już będzie trzydzieści lat... tak... trzy lata... pięć lat... a potem miasteczko Łódź i fabryka. Trzydzieści lat, no... no... tęgi kawał czasu. – Zdziwił się, nie myślał nigdy, że to tak dawno. Obejrzał się w tył, w czas ubiegły, w długie lat trzydzieści i patrzył trochę z niepokojem i trochę ze smutkiem. Mózg zaczął pracować, a dusza przedzierała się z trudem przez ten gąszcz lat trzydziestu; przez puste, szare, zgubione w pamięci lat trzydzieści, przekopywała się aż do tamtych czasów... do czasów młodości... do czasów dzieciństwa... pasania bydła... aż tam... na dno i początek życia.

I teraz dopiero, w tej chwili przypomniał sobie, że miał kiedyś młodość, wieś swoją, rodzinę swoją... życie inne...

„Chamy! Po co oni jadą na wieś!” – myślał z coraz większą irytacją i jak od psów złych bronił się od wspomnień, które wylażyły z ciemnych szczelin mózgu i obsiadały go coraz większą ciżbą.

Pan Pliszka pierwszy raz od lat dwudziestu źle dzisiaj robił.

Nie słyszał sygnałów, mylił się w piętrach, a często przejeżdżał, nie zabierał niczego i ginał w przepaściach swojej studni, powstawało z tego ogólne zamieszanie, towary się spóźniały, niektóre maszyny musiały czekać na robotę, zwróciło to uwagę powszechną.

W sobotę przy wypłacie wymówił mu to kasjer.

– Pliszka, płacicie karę za nieporządk i opóźnianie!

Pan Pliszka rzucił się jak piorunem uderzony, a potem wybuchnął:

– Ja płacę karę, ja! Dwadzieścia lat jestem w fabryce i ani grosza nie zapłaciłem kary, to nie zapłacę i dzisiaj.

– Zapłacicie, tak kazał pan Demehl.

– Pan Demehl! A to zapłacę – zawołał nagle, zrezygnowany – pan Demehl – powtarzał cicho, wlokąc się do domu. Kruczek czekał na niego przed bramą fabryki i szczekał radośnie na powitanie.

– Kruczek! Pan Demehl skrzywdził twojego pana, słyszysz! Pan Demehl.

Kruczek na dźwięk nazwiska zaczął szczekać groźnie, gonił niewidzianego, mścił się za krzywdę swojego pana. A pan Pliszka jakby zapomniał o wszystkim, bo siedział w swojej izbie pod oknem palił fajkę i nie odzywał się do nikogo, nawet na Kruczka uwagi nie zwracał.

Robotnicy szykowali się spieszenie do drogi, myli się pod pompą na podwórzu w mroku wieczornym, odziewali odświętnie i zapełniali mieszkanie świątecznym nastrojem; gospodyni, pani Radzikowa i Antoś pomagali im wiązać tobołki.

– Co wieziecie, Adamie, do domu? – pytała.

– Chustkę dla matki, kaszkiet ojcu, a dziewczuchom paciorków...

– A wy, Piętrze?

– Obrazików i na spódnice matce.

– A Józef?

– Ja nic; bo to ja jadę gdzie? mam to gdzie albo do kogo, co? – odburknął gniewnie Józef, mocno odsunął stółek i wyszedł na podwórze; do późnej nocy słyhać było głos jego harmonijki... grał zapamiętałe, jakby na zagłuszenie swego sieroctwa.



A pani Radzikowa rozkładała te dary wszystkie na stole, przyglądała się im w świetle lampy i składała ostrożnie jak świętości.

„Głupie!” – pomyślał pan Pliszka, gwizdnął na Kruczka i wyniósł się na podwórze do Józka. Poczł nagłą i złą niechęć, prawie nienawiść do tych ludzi, do ich twarzy, do ich rozradowanych uśmiechów.

Siedział pod ścianą na kamieniu i głupim, bezmyślnym wzrokiem patrzył w księżyc, co się już był wznosił ponad miasto i płynął jak ptak świetlany poprzez czarne głębie.

Duszę mu omroczył dziwny smutek roz tęsknienia, a na oczy opadł łzawy cień, uparty cień, który ustąpić nie chciał, pomimo że go pan Pliszka ścierał kułakiem.

I siedział tak długo, wpatrzony w noc miesięczną i wsłuchany w Józkową muzykę – tylko że nic nie widział, nie słyszał i nie pamiętał.

Wieczór był cichy maja, sobotni wieczór fabrycznego miasta, odpocznienia wieczór.

Okna gasły, ciemniały jak źrenice zmożone snem; fabryki milkły i zasypiały, ulice głuchły i zdały się przeciągać w leniwym, rozkosznym odpocznieniu; domy zanurzały się w ciemności i w ciszę, gwar ludzkich rojowisk przycichał, tylko księżyc świecił coraz jaśniej, tylko czuby drzew szeptały listkami i jakby się wznosiły w tej srebrnej mgłę, i jakby piły światło i ciszę, i ukojenie.

– Zostańcie z Bogiem! – zawołał któryś przez okno.

– A idźcie na złamanie karku! – mruknął pan Pliszka ze złością.

Ale już nie mógł usiedzieć, nie. Podniósł się i poszedł za nimi, poszedł wolno, bo jego drewniana noga zaciężyła mu dzisiaj, poczuł w niej dziwny ból, dziwny. Stał na drodze i patrzył za nimi.

Długo widział ich czarne sylwetki z białymi tobołkami na plecach, szli przez pola, ku kolei... dobrze widział w tym jasnym, księżycowym świetle. Tak się zapatrzył w nich, że nawet nie wiedział, kiedy mu zginęli z oczów i przepadli w oddaleniu.

Wracał wolno, zmęczony bardzo, włókł się koło fabryki i drgnął jakby z przestachu, księżyc tak świecił z boku w okna, tak je prześwieślał na wskroś, że pan Pliszka najwyraźniej ujrzał czarne, błyszczące kontury maszyn, zdawało mu się, że stalowe kadłuby przysunęły się bliżej, że się pochylają do okien i potworne, olbrzymie łby maszyn patrzą w świat... patrzą na niego, a tak groźnie, tak strasznie i złowrogo, że się aż przeżegnał i spieszenie powrócił na kamień, pod ścianę.

Józek wciąż grał na harmonijce, a grał coraz zapamiętałej – to walce huczące jak burza, to mazury, które były huraganami, to oberki takie, że aż harmonijka jęczała ze zmęczenia, to znowu dziwne piosenki, piosenki proste, łzawe, smutne – takie, jakie płyną po polach w jesienne noce, pełne pomiotów wichury, płaczów drzew marznących, jęków ziemi zmęczonej i szelestów suchych badyłów, a z bramy głównej odpowiadał mu głos rzewnej ligawki pastuszej, dzisiaj pewnie wykręconej z tych wierzb, co rosły nad fabrycznymi sadzawkami, na której grywał stróż fabryczny.

Ligawka miała dziwny głos płaczu i skargi, jakby jęk duszy tych wierzb, tych drzew tęskniących za słońcem, za wihrem, co buja po polach, jakby jęk tych drzew zatrutowanych przez dymy, duszonych przez mury, przez brak powietrza, przez te straszne odpływy fabryczne konających.

– Józef, a dałbyś spokój! Skrzypisz a skrzypisz, aż uszy bolą! – zawołał pan Pliszka rozdrażniony i powrócił do izby.

Pani Radzikowa jeszcze nie spała, wiązała z pośpiechem frędzle u chustek wełnianych, których stopy leżały na podłodze, a Antos przy drugim końcu stołu zatkał uszy rękami i uczył się, wykuwał lekcje.

– Przestałaby pani, a to oczów szkoda!

– Muszę skończyć dzisiaj. Jutro przecież jedziemy na wieś, do mojego brata, księdza. Antos butów nie ma, a i wpis trzeba płacić.

Pan Pliszka usiadł pod niskim kominem i raz po raz dziobał pogrzebaczem w dogasające węgle. Kruczek wyciągnął się przy nim na ziemi i spał.

Cicho było, Józkowa muzyka przez mury dopływała jak niewyraźne majaczenie, a zegar cykał monotonnie, powolnie, ciągle.

– Na długo pani pojedzie? – zapytał cicho.

– Na dwa albo i trzy dni! Chcę też skończyć chustki, to może pan Pliszka w poniedziałek odeśle je do fabryki.

– W poniedziałek święto! – rzekł krótko.

– Ale to przecież fabryka żydowska i kantor będzie otwarty.

– Aha! dobrze.

– A pan Pliszka nigdzie na święta nie pojedzie?

– Także! Nie jestem bogacz, żebym mógł jeździć na spacer! – powiedział z naciskiem, rzucił pogrzebacz i poszedł spać.

Ale nie spał, nie mógł zasnąć, w jakąś godzinę zajrzała do niego pani Radzikowa.

– Że do dnia jedziemy, to chciałam prosić, żeby tu pan Pliszka miał oko na mieszkanie.

Nie odpowiedział, zaklął tylko po cichu i leżał jak martwy w tej dziwnej, niezrozumiałej męce, która go przenikała coraz boleśniej: była to męka tęsknoty bezcelowej jeszcze, głuchej a tak bolesnej, tak bolesnej.

– Wszyscy jadą... wielkie państwo... balowania im potrzeba... ale... – roztań kulał ten mglisty cień, co mu znowu przydusił oczy. – Bieda aż piszczy, a na spacer to pieniądze mają... Przecież gdybym chciał... gdybym chciał... – Dotknął się woreczka, który nosił na pierśsiach, tam miał wszystkie swoje oszczędności, składane przez lat dwadzieścia. – Zechcę, to przepiję wszystko albo dam komu... albo też pojedę... aha!... tak... i gdzie? – przesunął ręką po oczach wilgotnych. – Sam jeden człowiek, jak ten... ten Kruczek... Chamy, psiakrew! Letnich mieszkań im potrzeba.

Miał już w sobie cały pożar tęsknoty i całe morze goryczy...

Nazajutrz wstał późno, tak późno, że już nie było pani Radzikowej, a jasne, wesołe słońce zalewało jego izbę.

Oprzytomniał rychło i gdy sobie przypomniał dzień wczorajszy, to mu przede wszystkim przyszła na myśl kara, jaką kazał mu zapłacić pan Demehl.

– Kruczek! – zawołał ostro na psa. Kruczek przeciągał się leniwie, ale patrzył na pana. Pan Pliszka powiesił na drzwiach stary, poszarpany kożuch.

– Kruczek, twój pan zapłacił karę, słyszysz? Kruczek, pan Demehl! Kruczek, weź pana Demehla! Weź, huzia go! gryź go... weź!... nie daj swojego pana, nie daj! – krzyczał i aż zachrypnął z gniewu i zawziętości, złapał kij, bił w kożuch, a Kruczek szczekał zajadle, przyskakiwał i rwał zębami, gryzł, skowyczał, rzucał się na kożuch jakby na rzeczywistego nieprzyjaciela i mścił się za krzywdę swojego pana.

– Dosyć, piesku, dosyć, jeszcze go później pogryziemy. Dosyć... pójdźmy teraz się zameldować panu kapitanowi.

Pies przywarł do ziemi ze zmęczenia, a pan Pliszka wygolił się starannie, ubrał odświętnie w jakąś starożytną czamare<sup>22</sup>, przypiął jakieś trzy ordery na pierś, wyczernił obcięte krótko nad ustami wąsy, wyświętacznił się nadzwyczajnie i wyszedł paradnym krokiem.

– Pójdziecie, panie, do kościoła? – zagadnął go Józef z drugiej izby.

– Idź sam, ja nie pójdę.

Pan Pliszka codziennie gorąco się modlił, ale do kościoła nie chodził.

– Z jezuitami nie trzymam – mawiał.

---

<sup>22</sup> C z a m a r a – starszlachecki strój męski, zapinany podszyję.

## II

Pan Pliszka szedł do swojego kapitana<sup>23</sup>, który był magazynierem jednej z fabryk i mieszkał daleko, bo tuż za rynkiem Geyera, na krańcu miasta, prawie już w polach.

Daleko to było dla jego lat i drewnianej nogi, ale szedł prędko, jakby uciekał od domu pustego, od samotności. Miał w sobie pamięć głębokiej krzywdy, którą mu wyrządzili robotnicy i pani Radzikowa, tej krzywdy, że pojechali, więc szedł jakby na skargę, na uzalenie; musiał coś wiedzieć o stanie jego duszy Kruczek, bo szedł cicho przy nodze i często podnosił mądre oczy na pana.

– Dobrze! dobrze, Kruczek! – szeptał cicho pan Pliszka i maszerował bocznymi ulicami, bo nie lubił Piotrkowskiej, tam było za wiele ruchu i za wiele ludzi.

Pan kapitan był właśnie w domu, siedział przed lustrem, z namydloną brodą i z brzytwą w ręku.

– Pliszka, pokornie się melduję panu kapitanowi.

– He? A... Pliszka, cóż tam?

– Wszystko w porządku.

– Ba? a, w porządku! to dobrze, mój chłopcze, dobrze. Wyczyść no mi buty i daj jeść moim smykom! – co?...

Pan Pliszka z przyjemnością czyścił kapitanowe buty i karmił ptaki, które krzykiem i świegotem zapełniały pokój, bo ich było kilkanaście klatek, porozwieszanych po ścianach.

– Ożeniłeś się, chłopcze, co? – pytał kapitan skrobiąc twarz brzytwą.

– Nie, pokornie melduję.

– Co? a, nie, dobrze, bo w pochodzie baby na nic, rozumiesz?

– Rozumiem! – odrzekł krótko, salutując.

– Co? a, rozumiesz, dobrze.

Zaczął gwizdać pan kapitan ostrząc na pasku brzytwę, odpowiedziały mu zaraz chóralnie ptaki i powstał taki pisk, że aż Kruczek zaszczeakał w sieni.

– Psiakrew! – zaklął pan Pliszka przez zaciśnięte zęby.

– Co?... – zawołał prędko kapitan, odwracając się do niego.

– Powiedziałem: psiakrew, panie kapitanie.

– Co! a, psiakrew!

Pan kapitan popatrzył w okno, splunął i zaczął się myć.

– Gorzałki się napijesz? Hej! Magdusia, a daj no gorzałki!

Weszła zaraz Magdusia, baba jak stóg siana, a ciężka jak furgon artyleryjski, bo aż się podłoga ugięła pod nią, odmierzyła z flaszki potężny kielich gorzałki i postawiła przed panem Pliszką...

Wypił, zasalutował i chciał całować w kapitański łokieć.

– Stać w szeregu! cicho! – krzyknął srogo pan kapitan.

Stał pan Pliszka, jak mu kazano, przez chwilę, przez krótką chwilę, bo nagle zasalutował, odwrócił się po żołniersku i wyszedł nie mówiąc ani słowa, nie słuchając kapitańskiego wołania. Ot, coś go szarpnęło i wyrzuciło za drzwi, nie wiedział, co to było, ale był posłuszny i wyszedł spieszenie, jakby znowu uciekał. Na Piotrkowskiej zwolnił kroku, bo zabolęła go noga. Uderzył się laską po szczudle, zniecierpliwiony był i zły.

„Po co oni pojechali?” – Przyszło mu znowu to samo pytanie na myśl. Całe dwa dni świąt miał przed sobą, dwa dni samotności.

---

<sup>23</sup> K a p i t a n – Pan Pliszka brał udział w powstaniu styczniowym (1863); kapitan to jego przełożony z tamtych lat.

„Trzeba używać święta!” – postanowił sobie. I używał, chodził po ulicach, wstępował do szynków, gapił się na ludzi, ale ani na chwilę nie mógł zapomnieć o sobie.

A miasto wrzało świąteczną radością, radością beztroski chwilowej i odpocznienia.

Słońce zalewało Łódź potokami światła i ciepła. Tak się lśniły radośnie dachy, tak błyszczały okna, tak spokojnie nurzały się w blaskach fabryki, taka głęboka cisza leżała wśród murów i maszyn, po składach, kantorach, dziedzińcach – tylko na głównych ulicach wrzał rój ludzki, cieszył się życiem i ciepłem. Tłumy ludzkie głębokimi falami pchały się, piętrzyły, przewalały z końca w koniec Łodzi i wciąż płynęły, płynęły.

Katarynki grały po szynkach, po bocznych ulicach, przy karuzelach i w budach z osobliwościami.

Pan Pliszka poddał się tej fali ludzkiej i płynął razem z nią: poruszał się, przystawał, ruszał naprzód z tą samą ogólną bezmyślnością stada ludzkiego, spracowanego stada, które nie wie, co robić ze sobą na wolnym powietrzu, które nie umie się bawić, nie umie radować, nie umie żyć.

Radość ich była smutna i cicha, gwar rozmów przyciszony i pełny trwogi, spojrzenia tępe i zalęknione, ruchy powolne i automatyczne, przystosowane do ruchów maszyn, z którymi zawsze żyli; twarze jakieś szare, martwe, pochylone, karki zgięte, ramiona obwisłe, ciała splecione i chude, dostosowane do ciasnoty sal fabrycznych, do kształtów maszyn, do murów, do potrzeb fabryki.

Cały ten tłum dusz – nie, nie dusz, tłum dopełniaczy maszyn, tłum mizernych, najprostszych kółek i trybików, tłum niezłożonych mechanizmów fabrycznych tłoczył się po ulicach, pił w szynkach i bawił się na karuzelach, w menażeriach, w panoptikach<sup>24</sup>, tańczył po ciasnych salach, siedział pod domami i nie wiedział, co robić ze sobą, co robić z tą świątecznością – onieśmielony światłem, przestrzeniami wolnymi, ciszą i powstrzymywany w ruchach wewnętrznych nieświadomą zależnością od tych potworów – fabryk, stojących dookoła czerwonym, potężnym wałem ciał kamiennych, uspionych tylko na chwilę, a czuwających, znikłych w odpocznieniu, a stróżujących tysiącami okien, setkami kominów, które zdawały się pochylać w blaskach słonecznych i zaglądać w ulice, w place, w zaułki, w pola, w domy – jakby pilnowały swoich niewolników i trzymały ich grozą swojego czuwania.

I pan Pliszka czuł to wszystko, nie rozumiał, ale czuł, i dlatego pozwolił się porwać jakiejś gromadzie i płynął z nią aż za miasto, w pola, jakby na inny brzeg wyrzuciła go ta fala miasta, rozplynęła się, a on pozostał nad ławicą pól pełnych zieleni, kwiatów, ciszy upajającej, świergotu ptaków. Fala się rozprysnęła po tym zielonym brzegu, a on pozostał tylko z Kruczkiem, który ogłupiałym wzrokiem patrzył na skowronki wzbijające się w górę i na rozkołysane zboża...

Chłodny i wilgotny wiatr wiał nad polami. Pan Pliszka patrzył długo, patrzył pogardliwie na ten zielony, rozkwiecony, rozszumiały szmat ziemi, a potem z uśmiechem politowania spostrzegł ludzi siedzących po miedzach, że im tylko głowy widać było ze zbóż.

– Głupie chamy! Kruczek, do nogi! Kruczek! – krzyczał, bo pies jakby nagle oszalał, rzucił się w zboża, gonił za jaskółkami, szczekał na chmury, obwąchiwał tarniny kwitnące, tarzał się po bruzdach, to leciał bez pamięci po tym szumiącym, zielonym morzu, to znowu przystawał niespodziewanie i dziwnym, pomieszaniem wzrokiem patrzył na żyta jakby biegnące ku niemu, aż odskakiwał i ze skowytami przywierał do ziemi, rozpląszczał się i patrzył, jak zboża ruszały się, szły... pochylały się nad nim i dzwoniły zielonymi, lśniącymi źdźbłami!... i odchodziły w drugą stronę...

– Także mi parada, nawet usiąść nie ma gdzie – szepnął pan Pliszka, zirytowany na wszystko, a szczególnie na Kruczka, odwrócił się z pogardą od pól i powracał do miasta, jak

---

<sup>24</sup> P a n o p t i k u m - muzeum figur woskowych i różnego rodzaju osobliwości.

tylko mógł najspieszniej, powracał do domu. A gdy Kruczek przyszedł, był już gęsty mrok, pan Pliszka wybuchnął i zbił go srodze.

– To ja sam tu będę siedział, co! Ty chamie, ty parobku głupi, to i tobie także wieś pachnie, co! – krzyczał strasznie; ale że pies się nie bronił, tylko jakby jęczał z bólu i tak patrzył żałośnie, tak żałośnie skomlał i lizał jego ręce, więc pan Pliszka ochłonął prędko, porwał Kruczka na ręce i rozplakał się pewnie pierwszy raz w życiu.

– Cicho, Kruczek! Widzisz... twój pan!... widzisz... sam... sam...

Na drugi dzień już nie mógł dać sobie rady, tak mu pusto i źle było w domu, tak samotnie na ulicach, tak głupio w szynkach i tak tęskno, tak strasznie tęskno za czymś, że już na godziny prawie obliczał czas dzielący go od powrotu tych „głupich chamów”.

Po południu, że już wytrzymać nie mógł, poszedł do fabryki. Włączył się po salach pustych i cichych, pogrążonych we śnie... Maszyny spały, obwisłe, nieczynne pasy i koła wisiały bezwładnie, pogrążone w głębokiej, dziwnej zadumie; potworne, dziwaczne korpusy maszyn, stalowe łby i ręce – szarzały tajemniczo w świetle słońca; stopy kolorowych towarów leżały spiętrzone po salach. Korytarze były ciche, kotłownie nieme i wygasłe – ale wszędzie, na każdym kroku, w każdym załomie maszyn czuć było straszną siłę, powstrzymywaną tylko, skupioną, jakby przyczajoną na chwilę... Jakieś drzenie ledwie wyczuwalne, jakieś szelesty, jakieś głębokie, ciche głosy chodziły po salach, przepływały wskroś maszyn i murów... Czasem nit jakiś trzaskał, czasem pas się zsunął niżej, jakaś śruba zaskrzypiała, jakaś blacha drgnęła, jakiś tryb zgrzytnął, jakiś warsztat się poruszył, jakieś szyby zabręczały cicho – a potem znowu panowała cisza, strasna cisza spracowanych maszyn, odpoczywających metali...

Pan Pliszka bał się już chodzić po salach, trwoga chwyciła go za gardło, a ten majestat odpoczywających maszyn obezwładniał go i hipnotyzował. Skurczył się pod jakimś oknem i siedział nieruchomy, martwy, ponury, odmawiał bezwiednie pacierze i lękliwie spoglądał po sali, po sufitych i oknach, bo się bał patrzeć na maszyny, czuł, że one patrzą na niego, że widzą, iż jest tutaj, te dziwne błyski polerowanej pracą stali, te błyski spojrzeń prawie, przenikały go zimnem i trwogą, a te spojrzenia były wszędzie, wydobywały się ze zwoju sztab i belek, i blach, i kół, i ram, i trybów – i przepelniały sale dziwnym światłem przerażającym duszę ludzką, światłem innego świata, światłem potęgi złej i nieubłaganej.

Ale mimo wszystko było tutaj panu Pliszce lepiej niżli w domu, bo tutaj nie czuł siebie, nie czuł ciężaru własnej duszy, nie tęsknił, przywarł jak pies do nóg odpoczywających potworów i chociaż w trwodze, czuł się przy nich spokojny, bo nie był pozostawiony samemu sobie.

Dopiero późnym wieczorem przywłókł się pan Pliszka do domu.

Pani Radzikowa już powróciła, przywitała pana Pliszkę z radością, częstowała różnymi smakołykami przywiezionymi ze wsi i opowiadała z entuzjazmem, jak tam u brata księdza jest pięknie, jak to jabłonki są już w kwiatkach; jakie już mają młode kartofle, jakie masło tanie a dobre, jak młodym gęsiom dają siekane jajka, żeby prędzej rosły, jak młode prosięta piją czyste, nie zbierane mleko; z zachwytem najszczerzej pokazywała księżą sutannę i wielkie buty z cholewami; dał to Antosowi, trochę to za duże na chłopca, ale Bóg mu i za to zapłać; dał i futro dla niej, wprawdzie wierzch zatłuszczony i podarty, a futro dawno mole zjadły... ale zawsze... zawsze poczciwy on, szlachetny i dobry człowiek!... I płakała z rozczulenia, płakała z radości, że są jeszcze ludzie dobrzy, bo cóż, że ona biedna, że krwawą pracą utrzymuje siebie i syna, ale ma brata księdza, który i pieniądze ma, i konie piękne, i poważanie u ludzi takich bogatych, u dziedziców, że gdy przyjechali na obiad wczoraj, to nie śmiała zasiaść, wołała z Antosiem jeść w kuchni, bo dosyć miała i tak uciechy, że brat z nimi siedzi jak równy z równymi!

I opowiadała, opowiadała upojona wycieczką, opalona na wietrze, pełna słońca, pełna życia, wiary, nadziei, którą przywiozła stamtąd... z pól, z łąk, z lasów. A potem opowiadał Antos i miał serce pełne radości, a oczy pełne łez, zachwytu i szczerości.

– O, jak tylko dorosnę, to zabiorę mamę i pojedziemy na wieś, tam będziemy żyć, bo tam jest tylko dobrze! tam! – wołał rozentuzjasmowany i podnosząc oczy opowiadał jedno i to samo, aż go matka musiała wypędzać spać, bo byłby opowiadał noc całą.

A pan Pliszka słuchał uważnie, ale nie rzekł ani słowa... – Bo tam, na wsi, jest tylko dobrze, tam! – powtarzał w duszy słowa Antosia i dziwnie się uśmiechał, dziwnie.

A późnym wieczorem, bo już przed samą północą, powrócili robotnicy. Powrócili jak burza wiosenna, pełni wesela i uciechy i napełnili izdebki gwarem radości. Szczęście biło im z opalonych twarzy. Pokładli się zaraz, ale gadali długo, wspominali, śmiali się. Adam miał spuchniętą twarz, nic to jednak, to tylko w karczmie na zabawie trochę się pobił, musiał przecieżyć się „pobarować”... Hej! hej! jeszcze siły ma! jeszcze go ta Łódź nie zżarła! Niech tylko powróci do ojców, posiedzi ze dwie niedziele, to zobaczą...

– Spalibyście! Pyskują i pyskują, a człowiek usnąć nie może – burknął na nich pan Pliszka i ostro zatrzaskał drzwi. Co go to obchodziło.

„Sprali mu pysk, a to bydlę jeszcze się cieszy. Chamy! chamy! parobasy! Zobaczyli krowie ogony i cieszą się” – myślał pan Pliszka z taką wściekłością, że chciało mu się sprać Kruczka, ale nie sprął. Siedział do świtu na łóżku i odmawiał różaniec żarliwie, i z uporem odpędzał od siebie tęsknotę, ból, niepokój, mękę, jaką mu sprawiło to przypomnienie wsi.

– Żeby to najjaśniejsze spaliły!. Człowiek pracuje jak wół, a jeszcze spokoju nie ma! – zaklął rano, ale sam nie wiedział pod jakim adresem.

Tylko jakby się mścił na windzie, bo tak przystawał ostro, że uderzała z jękiem o progi pięter.

Nie chciał ich pytać o nic. Ale gdy spotkał raz i drugi, nie wytrzymał i rzucił szorstko i lekliwie:

– Cóż, trafiliście do domu?

Spojrzeli zdumieni – jakżeby można nie trafić do domu?

– Prawda, przecież to zaraz ze szosy na lewo, między topolami!...

– Topole – oho! – już je dawno dziedzic wyciąć kazali...

– Nie ma topoli – jęknęło mu serce i mówił spieszniej...

– ...a potem koło kapliczki cmentarz.

– Kapliczki? – jeszcze było pasał, jak ją rozebrali...

– ...a potem przez groblę koło karczmy i już wieś...

– A juście ino że ani grobli, ani karczmy już nie ma...

Nie pytał się już więcej.

– Topole, kapliczka, karczma, grobla... nie ma, dlaczego nie ma?...

– Nie ma... są – pamięta dobrze, widzi teraz. – Nie...

I cały tydzień, cały długi tydzień nie mówił z nimi, nie pytał, a tylko, żył przypominaniem sobie topoli, karczmy, grobli, kapliczki.

Dopiero w sobotę po robocie przysiadł się do nich i zapytał:

– Dobrze wam było?

– O Jezu, ino do świętego Jana robił będę, a potem, to niechta morówka weźmie to miasteczko Łódź i te fabryki – wykrzyknął Józef.

Pan Pliszka uśmiechnął się z politowaniem.

– Komornik na wsi to większy pan na codzień niżli człowiek fabryczny w niedzielę...

– Głupstwa pleciecie, Adamie! – powiedział pan Pliszka, ale mimo to przyniósł wódki, częstował ich i zmuszał do opowiadania o każdej drodze, o każdym drzewie, o polach, o lasach – o wszystkim... I tak się zapalał, tak się interesował tym życiem wsi, że Adam mu rzekł w końcu:

– A bo to pan Pliszka nie może rzucić fabryki! Kupicie sobie gruntu między swoimi i gospodarzem będziecie, a nie takim parobkiem przy fabryce jak my wszystkie.

Pan Pliszka zirytował się tym projektem tak silnie, że nawymyślał im od głupich chamów i poszedł spać.

Obudził się w nocy, usiadł na łóżku i myślał.

„Wrócić albo co! A może tam kto z moich żyje jeszcze?”

Nie spał już tej nocy pan Pliszka, nie spał i nocy następnych... A dni przechodziły nieubłaganą koleją i przepadały nieubłaganie.

...były wiosenne, rozśpiewane, przesłonecznione, czarowne.

Pan Pliszka płakał w męce.

...były zadeszczone, szare, smutne, długie jak żal...

Pan Pliszka płakał z tęsknoty.

...były zimne, zmęczone i smutne, jak maszyny spracowane.

Pan Pliszka!... ach, pan Pliszka się modlił...

...A noce były jak krzyki tęsknoty.

...A wieczory były jak ciężkie marzenia konających.

...A poranki przychodziły ciche, łzawe, zrozpaczone – a pan Pliszka już nie płakał, już się nie modlił, tylko patrzył w świat – tam!

Ale pan Pliszka odejść nie mógł, bał się fabryki!...

Tak, pan Pliszka bał się fabryki.

Nie mógł się na nic zdecydować, nie śmiał, a przy tym trzymał go jeszcze dziwny lęk.

– Cóż bym tam robił? – zapytywał siebie po tysiąc razy i coraz częściej widziano go zapatrzoną w pole i niebo, ale i coraz częściej nocami siadał przed domem i patrzył na fabrykę, na ciemne kontury murów, co jak zmora dusząca przywarły do ziemi, objęły sobą i ssały nieubłaganie; coraz częściej pan Pliszka czuł w sobie ruch tych sal nieskończonych, ten zgiełk maszyn, te wiry sił i coraz słabszy się czuł, coraz niedołężniejszy, coraz pokorniejszym wzrokiem patrzył na żelazne profile... coraz pokorniejszym... aż pewnej niedzieli, po całych tygodniach tej męki niewypowiedzianej, gwizdnął na psa i poszedł za miasto, daleko, daleko, w pola czyste... tam, gdzie już nie było fabryk, a tylko dachy słomianych domów wychylały się ze zbóż wykłoszonych, gdzie drzewa nie konały zatrute odpływami fabryk, gdzie zboża jak woda falowały w blaskach słońca, tam, gdzie łany, niby barchan zielony nakrapiany żółtymi ognichami, rozlewały się jak morze, gdzie wiatr pieśczośliwy, miękki gził się swawolnie i targał zielone brody wierzb pochylonych i rozdmuchiwał przekornie czuprynę płowego żyta – tam, na wieś prawdziwą... Pan Pliszka się cofnął, uderzył go niemile wiatr, powrócił do jakiegoś podmiejskiego szynku, wypił kieliszek wódki, posiedział i poszedł znowu w pole...

Nie krzyczał już pan Pliszka na Kruczka, nie zabraniał mu szaleć, nie czuł już pogardy do ludzi łączących po miedzach i drózkach... przeniknęła go głęboka cisza majowego popołudnia.

Usiadł nad jakimś rowem pełnym wody po której skakały żaby, pełnym żółtych kwiatów, pełnym traw i krzaków olszyn, pełnym robaków pełzających po liściach i ziemi, pełnym dziwnego, cudownego życia...

Pan Pliszka zdjął czapkę, było mu bardzo gorąco.

Skowronki jakby pijane wiosną śpiewały nad nim. a tam w puszczech żytnich ćwierkały kuropatwy, zwoływały się, woda tak dziwnie, tak słodko szumiała. Słońce przypiekało, aż żaby wychylały swoje okrągłe oczy spod wody i nukały głucho, monotennie... sennie... a ze wszystkich stron płynął szum, chrzęst; płynęła słodka muzyka chrząszczyków, przepiórek, płynęły ciepłe, upajające zapachy macierzanki, zapachy ziemi rozgrzanej, zapachy złotego słońca...

Panu Pliszce zaczęło się w głowie kręcić.

Ale siedział i patrzył, i słuchał, i czuł, i brał coraz potężniej w siebie emanacje tej wiosny i tych pól.

– Jezus mój najśłodszy! – szepnął bezwiednie i zaczął szukać po kieszeniach chustki.

– Jezus mój, Jezus! – powtarzał i szukał wciąż chustki, a łzy ciężkie, jak ziarna pełne, całym różańcem spływały mu po twarzy; nie wiedział o tym, nie wiedział już nic, tęsknota szeroka jak te pola objęła mu serce i szarpała boleśnie, nie do wytrzymania!

– Panie! panie!... co to wam? Wzdrygnął się, Józef siedział obok niego z harmonijką...

– A tobie, chamie, co do tego! – krzyknął i chciał się porwać i iść; nie miał sił, pozostał.

A Józef odsunął się nieco i zapatrzony w obłoki, co jak białe gołębie krążyły po błękitach, grał zapamiętałe.

A dusza pana Pliszki uległa już zupełnie.

Wieczór nadchodził, dzwony kościelne biły ponieszporne hymny, głos leciał po zbożach i trawach, że aż drgały źdźbła i ptaki milkły. Ziemia okrywała się rosą, przysłaniała się ciszą i mrokiem... cichła. Słońce kładło się za lasy, zboża się pochylały jakby w zadumaniu... szmer wody przycichł, wiatr uwiązał w lasach, wieczór nadchodził...

– Noga mnie tak bolała, że wytrzymać nie mogłem – tłumaczył pan Pliszka, gdy powracali do domu.

– Pójdę, dosyć mam tego, pójdę! – powiedział sobie stanowczo...

Ale rano w fabryce nie śmiał już tego powtórzyć, czuł wyraźnie dzisiaj, że fabryka go nie puści, że te bydlęta żelazne patrzą na niego groźnie, że te mury...

Nie, nie puści...

A tymczasem nocami, w marzeniu już był tam, u swoich; już chodzi po chatach panów braci, wita się, raduje, odnajduje wszystkich i jest mu tak dobrze, tak strasznie dobrze.

O, dosyć mu tej męki, dosyć.

– Jutro pójdę, żeby nie wiem co, pójdę – powiedział.

I przyszło w końcu to jutro, pan Pliszka czekał wieczoru, nie miał odwagi odchodzić w dzień.

Nie zwierzył się z tym planem nikomu.

I w nocy, gdy już w izbach wszyscy spali, wstał po cichu z łóżka, spakował w tłumok rzeczy i czekał tylko świtu, bo pociąg odchodził rano.

Kruczek niespokojnie obwąchiwał tłumok i patrzył mu w oczy.

– W świat pójdziemy, do swoich, w świat! – powiedział mu cicho.

Pan Pliszka siedział w oknie pomiędzy rozkwitłymi fuksjami, czekał świtu a patrzył na fabrykę, która olbrzymią, czarną plamą leżała w szarej, smutnej nocy.

Deszcz mżył drobny i ciepły.

„Jutro już tam będę!” – myślał pan Pliszka i serce zrywało mu się z szalonej radości.

Cień fabryki jakby zolbrzymiał i jakby pękł, i rozlewał się szeroko – na świat cały.

Pana Pliszkę noga zaczęła boleć dokuczliwie.

Przymknął oczy, bo kominy fabryki wychyliły się z ciemności i były tak blisko, tuż nad nim, jakby się pochylały... jakby chciały go chwycić.

– Winda!

Drgnął gwałtownie, ten krzyk rozległ się w nim, a jemu wyraźnie się zdawało, że to z fabryki głos dochodzi.

– Nie dam się, nie. – Wyskoczył przez okno, zarzucił tłumok na plecy i ruszył drogą. Ale musiał przechodzić wzdłuż całej fabryki.

– Winda!

– Jezus, Maria! – Przycisnął się do parkanu i z przerażeniem patrzył na czarne, straszne okna fabryczne...

Wydało mu się, że to okna czuwają, że tam w ich głębi widzi całą ciżbę poskręcanych, potwornych maszyn, że wszystkie się skłębily i patrzą na niego.

Cisza była śmiertelna, deszcz spływał sznurami drobnych paciorków i szeleścił ledwie do słyszalnie wśród liści.



Bieląło już nieco, wyraźnie, coraz wyraźniej spozstrzegał fabryki; wszędzie stały, ze wszystkich stron wyrastały, czaiły się w zmrokach, a zagradzały drogę... Szara, deszczowa kurzawa oblewała je jeszcze i mroki przysłaniały, ale one rosły w tym świtanu ponurym, potężniały, podnosiły szyje coraz wyżej... coraz groźniej!

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! Ruszył galopem prawie, przebiegł z zamkniętymi oczami obok fabryki i odetchnął aż w polach, pod lasem, który mu zagroził drogę, a że czuł się strasznie zmęczony, usiadł na jakimś zagonie i odpoczywał.

Był już kawał drogi od domu, ale fabrykę widział dobrze.

Było już coraz jaśniej.

Zerwał się, gdzieś daleko, na drugim końcu miasta zadrgał świst fabryczny.

Pan Pliszka porwał się i wszedł spiesźnie w las.

A świsty szły za nim jak psy i gryzły go w samo serce... o, jeden... drugi... dziesiąty, co chwila, co sekunda, co mgnienie wołały przenikliwe głosy fabryk!

Obejrzał się, w deszczowych mgłach już się jarzyły elektryczne słońca i wykwiwały nad miastem...

– Jezusie najśłodszy! Jezusie! – bełkotał przerażony.

Przyśpieszał kroku, chciał uciec, za wszelką cenę chciał uciec, ale te głosy biegły za nim, huczały w lesie, przedzierały się przez gęstwę drzew, przez mgły, przez oddalenie i znajdowały go, i biły w jego duszę, przenikały ją bólem, strachem, skowytami dzikim buntu i rozpaczą.

Naraz i potężny głos jego fabryki rozdarł bolesnym dźwiękiem powietrze, ach, tak znał ten głos, tak znał!

Stanął, przestał oddychać, przestał wiedzieć i pamiętać... a fabryka wołała go potężnym głosem gniewu:

– Wróć! wróć! wróć!

W pół godziny później stał znowu na swojej windzie.

– Winda, blich!

– Winda, suszarnia!

– Winda, apretura!

Huczała komenda w tej głębokiej studni, a pan Pliszka cichy, cichszy niż zwykle i bardziej pokorny, jeździł jak zwykle, równo, spokojnie, automatycznie.

Czasami tylko, gdy myślał o tych dniach buntów, płakał – ale płakał cicho, bał się, aby maszyny nie słyszały tej skargi.

## POSŁOWIE

W tradycjach polskiej prozy beletrystycznej Władysław Stanisław Reymont zajmuje jedno z czołowych miejsc, przede wszystkim jako pisarz, w którego dorobku literackim zarysował się pełny, przesycony prawdą, zamknięty w niezwykle wyrazistych obrazach – ogląd wsi z przełomu XIX i XX wieku. Najwybitniejszym jego dziełem jest właśnie czterotomowa powieść pt. *Chłopi*. Utworem tym zdobył on sobie miejsce w światowej literaturze, zachowując je po dzień dzisiejszy.

Reymont, zaliczony do klasyków, zostawił po sobie kilkadziesiąt opowiadań i sporą ilość powieści. Wśród tych ostatnich na czoło wysunąć należy wspomnianą już powieść o dziejach wsi powłasczeniowej, porwanej w tryby kapitalistycznego porządku, przeżywającej te wszystkie procesy, jakie nowy ustrój wnosił nieuchronnie w życie chłopów. Nieobca była pisarzowi i inna tematyka. W *Fermentach* i *Komediantce* odsłonił z przekonującą siłą, jak ciężkie były w burżuazyjnym społeczeństwie warunki pracy i rozwoju dla ludzi sztuki; w *Ziemi obiecanej* usiłował zamknąć w artystycznym obrazie wizję kapitalistycznego miasta; w *Roku 1794* sięgnął do czasów powstania Kościuszkowskiego, by odmalować bohaterski zryw narodu w obronie państwowego bytu.

W spuściźnie autora *Tomka Barana* i *Pewnego dnia* odnajdzie dzisiejszy czytelnik – w losach nakreślonych przez pisarza postaci, w zdarzeniach przez niego ukazanych – wiele prawdy o minionej rzeczywistości. Przypomnijmy więc, z jakich doświadczeń kształtowała się wiedza pisarza o otaczającym go świecie.

Reymont urodził się w 1867 roku jako syn organisty wiejskiego. Lata dziecięce spędził w małej osadzie znajdującej się nieopodal Łodzi, miasta rozwijającego się wówczas gwałtownie w wielki ośrodek przemysłowy. Przy licznych rodzeństwie i praktycznych zamysłach liczącego się z groszem ojca, edukacja chłopca skończyła się na kilku oddziałach szkoły powszechnej. W trzynastym roku życia wyprawiony do krewniaków do Warszawy, przeżyje tam cztery lata, ucząc się fachu krawieckiego, by według praktycznych życzeń rodziny zdobyć na przyszłość „pewny kawałek chleba”. Inne jednak wówczas marzenia roiły się w głowie młodego praktykanta krawieckiego. W wielkim mieście spotkał się on po raz pierwszy z teatrem, który udawało mu się oglądać w wolnych od zajęć chwilach. Urzeczony nim, zaczął wtedy marzyć o zawodzie aktorskim, o wejściu tą drogą w jakże odmienny od codziennej płaskiej rzeczywistości – świat artystycznych wzruszeń. Stąd bunt młodego chłopaka przeciwko własnemu środowisku, przeciwko jego ograniczonym, drobnomieszczańskim ideałom, przeciwko jego gonitwie za pieniądzem, za sklepikiem, czy rzemieślniczym warszatem. Mimo więc osiągnięcia czeladniczego dyplomu, młody Reymont nie spełnił ojcowskich życzeń; skłócony z najbliższą rodziną, nie dzielący jej życiowych „ideałów” – zerwie z domem przystając

do wędrownego teatryku. Odtąd rozpoczęły się lata jego trudnych doświadczeń, lata szukania własnej drogi w dżungli burżuazyjnego społeczeństwa.

Poznał wtedy nędzę i poniżenie prowincjonalnego aktora; chwytając się przygodnych zajęć w przerażających zawodach, szukając czasem tygodniami jakiegokolwiek pracy, przekonał się na własnej skórze, jak gorzki jest los człowieka w społeczeństwie, w którym ocenia się ludzi według majątku. Po tych pierwszych próbach rozejrza się w świecie, dwudziestotrzyletni Reymont osiadł na czas dłuższy we wsi Krosnowie jako dozorca odcinka kolejowego na linii Warszawa-Łódź. Był to jeden z najniższych szczebli na drabinie urzędniczej, jaki właściciele wielkiego przedsiębiorstwa łaskawie ofiarowywali ludziom z „dołów”, którzy w ówczesnych stosunkach dobijali się o społeczny awans. Pensja: dwanaście rubli na miesiąc – pozwalała mu odżywiać się... chlebem i herbatą, niekiedy całymi miesiącami. Mieszkający w chłopskiej chacie, skazany na skrajną nędzę, poniżany przez swoich przełożonych – Reymont w dalszym ciągu dzielił los „wydziedziczonych od stołu życia”. Okres młodzieńczego przedzierania się przez życie zbliżył przyszłego pisarza do świata prostych ludzi, świata bezlitośnie wyzyskiwanego, odciętego od wszystkich tych wartości, jakie nowoczesna cywilizacja składała człowiekowi.

W czasie pobytu w Krosnowie wrażliwa, chłonna pamięć artysty gromadzić będzie obserwacje z „bytowania chłopskiego”, tu odezwą się w nim pierwsze pragnienia, by otaczającą go rzeczywistość utrwalić w literackim kształcie. Przed jego oczyma przesuwano się wówczas życie wsi, cisnącej się coraz bardziej na swoich skrawkach ziemi, w zwiększającej się z dnia na dzień liczbie bezrolnej ludności – posiadającej coraz większą ilość „zbędnych rąk roboczych, dla których znikąd nie było chleba ni zarobku. Przed jego oczyma przesuwano się obraz klasy chłopskiej, wewnątrz której działało bezlitosne prawo: wyzysku człowieka przez człowieka; pastwą tego prawa padał w pierwszym rzędzie proletariat wiejski, wyzyskiwany zarówno przez obszarnika, jak i „co przedniejszych gospodarzy”; pastwą tego prawa padali drobni – i średniorolni chłopi, niszczeni lichwiarskimi pożyczkami, wyzuwani z ziemi przez kułaka i spekulanta wiejskiego.

Uchwycić okrutną prawdę tych procesów, zamknąć je w artystycznych obrazach – oto ambicja krosnowskiego dozorca kolejowego. Ambicji tej pióro nie odmówiło posłuszeństwa i tak powstały wówczas w całości bądź w szkicu pierwsze opowiadania chłopskie Reymonta: *Suka*, *Śmierć*, *Tomek Baran* i inne.

Autor, zachęcony drukiem kilku swoich nowel w czasopiśmie literackim, w roku 1893 porzucił służbę w Krosnowie, by odtąd całkowicie poświęcić się pracy pisarskiej. Wejście wówczas w środowisko ludzi, którzy, widząc w nim dojrzały już talent, pragnęli go wykorzystać dla własnych celów; pragnęli, by pisarz służył swoją sztuką klasie panującej. Stąd nacisk ideologów, występujących w obronie interesów obszarnika i fabrykanta – na młodego Reymonta; stąd ich próba podsunięcia i jemu, i innym pisarzom współczującym serdecznie z cierpiącemu ludowi – takiego spojrzenia na „sprawę chłopską”, które by pozwalało mniemać, że przed wsią są możliwości rozwojowe w kapitalistycznym ustroju.

Pisarze tworzący i drukujący w burżuazyjnym społeczeństwie nie mogli w jakimś stopniu nie ulec naciskowi panującej ideologii. Podobnie było i z autorem *Chłopów*. Ale stwierdzić jednak należy, że w generalnej linii całego swojego pisarskiego dorobku pozostał on wierny tym doświadczeniom, jakie ukształtował w nim okres ciężkiej i trudnej młodości. Z prawd wówczas odkrytych zrodziły się najlepsze jego dzieła, które włączamy dzisiaj do skarbcza polskiej literatury. Są między nimi zamieszczone w naszym wyborze opowiadania.

Opowiadania te powstały w pierwszym dziesięcioleciu drogi twórczej pisarza: *Suka*, *Tomek Baran* – 1893–94, *Pewnego dnia* – 1900. Celowo przypominamy lata powstania tych nowel, by choć w skrócie na ich przykładzie pokazać, jak wpływy burżuazyjnej ideologii przenikały do świadomości artysty, jak niekiedy hamowały go przed jedynie słusznymi wnio-

skami z trafnych spostrzeżeń, które czujny obserwator życia unaoczniał w losach nakreślonych przez siebie postaci.

W spuściźnie literackiej, jaką pozostawili nam w dziedzictwie pisarze minionej doby, obok szeroko rozbudowanych powieści wprowadzających czytelnika w całokształt panujących wówczas stosunków na wsi (*W roztokach* – Orkana, *Chłopi* – Reymonta) znajdziemy ogromne bogactwo drobnych utworów: nowel i opowiadań. Ich twórcy skupiali uwagę na jakimś jednym zaledwie zdarzeniu, na jakimś poszczególnym fragmencie ludzkiego losu. W tym ułamkowym, fragmentarycznym niejako spojrzeniu na rzeczywistość klasycy polskiej prozy potrafili zamknąć niezwykle dojrzałą ocenę otaczającego ich świata. Z kart ich opowiadań prawda o minionym ustroju odślania się z niebywałą ostrością; rzucają one przenikliwe światło na prawa rządzące życiem szerokich mas narodu w kapitalistycznym porządku. Dowodem – *Suka* Reymonta.

W historii jednego dnia syna robotnicy folwarcznej Reymont z dużą siłą artystycznego wyrazu odślonił stosunek dworu nie tylko do służby, lecz do całej wsi, obnażył pogardę i nienawiść obszarńnika do pracującego chłopstwa, ukazał ostre linie klasowego podziału między ludźmi „rolniczego stanu”, których według zapewnień burżuazyjnych ideologów miały wiązać wspólne interesy. I na tym polega wartość realistycznej sztuki: kreśląc prawdziwe fakty zadawała ona kłam panującej klasie, tym samym pozwalała krzywdzonemu człowiekowi pracy rozeznąć się w stosunkach, pozwalała mu zrozumieć, że jego cierpienia to nie odosobniony wypadek, lecz typowa sytuacja dla ludzi jego „stanu”.

Typową dla owych czasów sytuację proletariatu wiejskiego zamknął Reymont w dziejach Tomka Barana. O ideowej wymowie literackiego utworu decydują przede wszystkim nakreślone w nim artystyczne obrazy. Ileż pasji oskarżycielskiej tkwi w scenie, na którą natrafiamy na kartach tego opowiadania:

„Przyszedł do chałupy, usiadł na dawnym miejscu i nic nie widział, co się wkoło niego robi. Walczył z życiem, jak mógł i umiał, ten cios ostatni wyczerpał go już zupełnie, już wiedział, że nie poradzi sam, że musi zginąć, więc mu się już wszystko stało obojętne, z rezygnacją kamienną pochylił głowę i poddał się losowi. Nie myślał ani o sobie, ani o dzieciach pozostałych, ani o niczym – czekał jakiegoś końca”.

– Oto obraz Tomka po powrocie z pogrzebu najukochańszego dziecka. Ten widok człowieka śmiertelnie wyczerpanego walką o byt – niemogącego swojej rodziny obronić przed głodem, ten widok człowieka zdławionego nędzą, zepchniętego na dno tępej rozpacz – to wielkie realistyczne uogólnienie nieludzkiej sytuacji bezrolnego chłopstwa w warunkach kapitalizmu.

W ostatniej scenie opowiadania, gdy stara komornica, Jagustynka, zaleca Tomkowi swą filozofię „pogodzenia się z losem”, ową filozofię stworzoną przez wyzyskiwaczy dla stłumienia gniewu wyzyskiwanych – bohater rzuca pytanie: „Dlaczego to, babko, jest, że choć my z panami jedni i mową, i wiarą, a wrą na nas kieby psy, poczciwego słowa nie dadzą, jak mogą ukrzywdzić, to ukrzywdzą”.

W Tomku rodzą się przebliski klasowej świadomości. Ten proletariusz wiejski wie, że dzieli krzywdę z tysiącami takich jak on ludzi, że ich ciężka dola to nie „zrządzenie boskie”, któremu poddać się trzeba z pokorą, ale sprawa całkiem ziemską, której przyczyn w ludzkich należy szukać stosunkach. Tomek poprzez własne doświadczenia dochodzi do gorzkiej wiedzy o tym, czyich interesów bronią obowiązujące w społeczeństwie prawa. To całej klasie panującej ciśnie on w twarz gniewem nabrzmiałe słowa: „Znam to, że instrukcje pisali dla siebie, a narodowi prawdę drogo borgują”.

Z doświadczeń krosnowskich wyrosła pod piórem pisarza nasycona ludzkim wzruszeniem opowieść o wsi głodnej i cierpiącej, ale świadomej już sprawców krzywdy i nabrzmiewającej przeciwko nim głuchym buntom.

W ostatnim z zamieszczonych w książce opowiadań pisarz przenosi czytelnika do miasta fabrycznego, ale bohaterami jego utworu są przecież ci sami ludzie, których wstrząsające losy pokazał w *Tomku Baranie*. Skrzywienie ideologiczne tego artystycznie przepięknego opowiadania – to rezultat nacisku burżuazyjnej koncepcji wsi, fałszywej, oczywiście, sprzecznej z prawdziwym stanem rzeczy. Zatrzymajmy się na jednej scenie, która jaskrawo uwidacznia wewnętrzną sprzeczność autora. Oto obrazek przedstawiający powracających ze wsi po świątecznym urlopie robotników: „Powrócili jak burza wiosenna, pełni wesela i uciechy i napelnili izdebki gwarem radości.” W rozmowie z panem Pliszką rzucają oni buńczuczne oświadczenia: „...ino do świętego Jana robił będę, a potem, to niechta morówka weźmie to miasteczko Łódź i te fabryki... Komornik na wsi to większy pan na codzień niżli człowiek fabryczny na niedzielę...”

Spojrzenie na życie wsi przez pryzmat wyczerpującej i automatyzującej pracy w fabryce nabiera w przytoczonej scenie sielankowej barwy. Istotną treść tej „sielanki” autor odsłonił jednak z przekonującą siłą w *Tomku Baranie*. W szeregu wcześniej napisanych nowel „o bytowaniu chłopskim” realistyczny pisarz ukazał nieodparcie, że dla bezrolnego chłopa nie było szans wyżycia w rodzinnych wsiach; czerpiąc materiał z konkretnej rzeczywistości dowiódł również, jak beznadziejne było wówczas położenie drobnorolnych gospodarzy. W tych opowiadaniach Reymont bezbłędnie zobrazował sytuację wsi z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, gdy ujawniły się z całą oczywistością te procesy, jakimi ustrój kapitalistyczny przeorywał tysiące gromad. Istotą tych procesów było to, że wieś ówczesna wyłoniła na jednym swoim skrzydle nieliczną grupę bogaczy wiejskich, na drugim spychane w nędzę i poniżenie pracujące masy chłopskie. Tę prawdę artysta odsłonił całym swoim pisarskim dorobkiem. W pełni zobrazował ją w podstawowym swoim dziele – *Chłopach*.

MACIEJ KOLIBA

